№ 30. Warszawa, dnia 16 (28) Lipca 1877 roku.



# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedyńczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).



## GRAJEK.

On biedny, ubogi, ma dziatek pięcioro,
Które go błagają ze łzami o jadło,
I żonę od trudów nadmiaru wciąż chorą,
I matkę staruszkę znędzniałą, wybladłą;
Mieszkanko malutkie zajmuje pod dachem
Na piątym aż piętrze i to tak wysokiem,
Że dziatwa do okna podchodzi ze strachem,
Gdyż trudno jej zgłębić przepaści swym wzrokiem,
Drzew brakło na opał, mieszkanie jest chłodne,
A mali wołają: „daj chleba—my głodne!“

Jednakże co wieczór gdy słońce zapada,
Gdy czarny mrok nocy roztacza cień w koło,
Wytartą fraczynę na barki swe wkłada,
I idzie w salony gdzie tańczą wesoło.
Tam huczy zabawa z szeregiem złud całym,
Tam grono pań strojnych i modnej młodzieży,
Wiruje rozkosznie w salonie wspaniałym,
A on w ten tłum gwarnych miesza się tancerzy.
Tymczasem pod strychem gdzie mała facyatka
Głód cierpią dziateczki i żona i matka!

Powiedzcież czyż zaparł się serca ten człowiek,
Czyż stracił w swej piersi współczucia ostatki,
Czyż łza mu litości nie zwisła wśród powiek,
Gdy ujrzał głód dzieci, ból żony, los matki?
Nie! one mu wszystkiem: pociechą, radością
I szczęściem i dumą i złudą snów złotą:
On kocha rodzinę najświętszą miłością,
On dla niej by życie niósł w dani z ochotą,
Lecz idzie w tłum gwarny czczej młodzi, pań modnych,
By zdobyć kęs chleba dla dzieci swych głodnych!

To biedny artysta, co kiedyś w lat kwiecie
Zamarzył o sławie, co sądził szalony,
Że imię nieznane zabłyśnie na świecie,
W sto potęg promiennych i w świateł miliony.
Niestety! Geniuszu nie dały mu nieba:
Miał siły, miał wolę, miał duszę wyniosłą,
Lecz w krańcach swej drogi by zdobyć kęs chleba,
Zmuszony był sztukę przemienić w rzemiosło.
Dla matki, dla żony, dla dzieci zgłodniałych,
Wśród tłumu tancerzy po nocach grał całych.

O smutne to noce! lśnią światła, grzmią tany,
Mijają się pary i suknie szeleszczą,
I płynie w powietrzu czar jakiś nieznany,
I roje widziadeł rozkosznie myśl pieszczą,
On gra wciąż choć dłoń mu od trudu tężeje,
Choć boleść wre w duszy, choć rozpacz tkwi w łonie,
Bo kiedy tłum gości wśród tańca szaleje,
On myśli o matce, o dzieciach, o żonie,
I tylko czasami, gdy koło się zbiera
Tancerzy, łzę z powiek ukradkiem ociera.

„Mazura raźnego—a żwawiej! a prędzej!
Gdyż zaraz kadryle i polki nastąpią...
Ah cóż to za grajek! Do brania pieniędzy
To zwykle gotowi, a palców swych skąpią;
Czyż twoich jeremiad kto dzisiaj posłucha,
Czyż dola twa komu z szczęśliwców jest znana?
Więc dalej, więc żywo, graj grajku od ucha,
My przyszli tu tańczyć i szaleć do rana.
Graj grajku! a biedak otarłszy swe oczy,
Gra, choć mu ból straszny cierpieniem pierś tłoczy.

Panowie i panie raz długo czekali,
Czas zacząć zabawę, karnawał tak krótki,
A grajek nie przyszedł na taniec do sali,
Bo pewnie w szynkowni gdzie dorwał się wódki.
Kto go tak osądził strasznie się omylił:
On wrócił po balu do izby pod strychem
I słucha — tam w kącie głos jakiś zakwilił,
A zaraz płacz jękiem odezwał się cichym
Wciąż słucha i wzrokiem okropnym spoziera:
Nieszczęsny — to dziecko mu z głodu umiera!

Jak gromem rażony—zdrętwiały, wybladły;
Stał pragnąc przygasłą skrę zbudzić pojęcia,
Ramiona mu martwo ku ziemi opadły,
Wzrok topił się bezmyślnie w twarz trupią dziecięcia!
Tymczasem na balu skrzą światła, grzmią tany,
Mijają się pary i suknie szeleszczą,
I płynie w powietrzu czar jakiś nieznany,
I roje widziadeł rozkosznie myśl pieszczą...
A grajek? ej nędzarz — któż o nim się dowie?
Siadł inny, to lepiej: „do tańca panowie!“

*Ludwik Niemojowski.*

# MARYA.

## Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Umilkł na chwilę zmęczony wzruszeniem. To co mówił kosztowało go wiele ale wypowiedzieć wszystko rozkazywała żelazna prawość jego. Jeżelibym znalazł w pani kobietę zepsutą i rozpieszczoną dostatkami i towarzyskiem swem położeniem, być może iż pomimo serdecznego pociągu który uczułem dla pani od pierwszego na nią spojrzenia, zwyciężyłbym w sobie uczucie które nazwać musiałbym nierozsądnem. Człowiek w moim wieku, ojciec dzieci i dźwigający trudne obowiązki swego zawodu, nie może

żenić się dla kaprysu ani nawet dla zadowolenia samych tylko żądań swego serca. Ale pani zadziwiłaś mię gruntownemi przymiotami swemi więcej niż zachwyciłaś swą pięknością. Uwielbiam panią jako człowieka, więcej może jeszcze niż kocham jako kobietę. Dla tego też, pomimo trwogi jakiej doświadczam na myśl że otrzymać mogę odpowiedź przeczącą, postanowiłem zapytać panią: czy zechcesz podzielić ziemną skromne, pracowite życie moje? czy zechcesz stanąć na czele domu mego i zastąpić dzieciom moim matkę której prawie nie znały? Czy zechcesz zostać towarzyszką i przyjaciółką, wsparciem i szczęściem, dla tak prostego i niczem wielkiem ani świetnem nie odznaczającego się człowieka, jakim ja jestem?

„Gdyby był najprzebieglejszym w świecie komedyantem, nie mógłby był w trafniejszy sposób przemówić do mnie. Zupełna szczerość jego była tym razem najwyższą zręcznością. Gdyby z tysiącem najkwiecistszych oświadczeń i najnamiętniejszych wykrzyków upadł był do stóp moich, gdyby był mi przyrzekał przyszłość błyszczącą jak słońce i jak ptak swobodną, wahałabym się a może i bez wahania odpowiedziałabym: nie! Ale to ukazanie mi życia prostego, czynnego, życia obowiązku i pilnej straży nad domowem ogniskiem jego, to wezwanie mię abym została współpracownicą w uczciwem dziele które spełniał i matką osieroconych dzieci jego, to nakoniec uznanie we mnie istoty nietylko kobiecej ale ludzkiej, napełniły mię uczuciem głębokiej wdzięczności i radości. Tysiące promienistych nadziei zaświeciło w mej myśli. Zdało mi się że ogarnia mię ciepło rozniecanego rękami mojemi rodzinnego ogniska, że czuję garnące się do mej piersi głowy dziecięce, że widzę już zdala te drogi proste i szerokie po których wieść będę serca i umysły istot tych pieczy mej powierzanych.

Miały się więc spełnić nakoniec wszystkie drogie marzenia moje! Miałam więc już nakoniec znaleść to miejsce na ziemi śród którego stanę jako czynna służebnica Boga światłości, pełniąc wszystkie dostępne mi cnoty, siłą woli i miłości podnosząc się coraz wyżej i innych za sobą coraz wyżej prowadząc!

Spojrzałam głęboko w twarz silnego człowieka tego która jednak pod spojrzeniem mojem bladła w cierpieniach oczekiwania, przypomniałam sobie wszystko co uczynił dla nas tak szczerze, tak po bratersku, przypomniałam sobie ostatnie słowa mego ojca... i milcząc podałam Michałowi obie swe dłonie...

Takiemi były zaręczyny nasze, bez świadków ni obrączek, co więcej; bez czułych gruchań ni namiętnych wybuchów. Nie czułam nic z upojenia tego o którem czytałam i słyszałam nieraz że towarzyszy zwykle chwilom podobnym, ale miałam cichą radość w piersi a w głowie mnóstwo pięknych nadziei.”

Taką jest cała historya małżeństwa Maryi tem szczególna, że przedstawia kobietę idącą za mąż nie dla szczęścia w zwykłem rozumieniu słowa tego i nie dla położenia towarzyskiego i nie dla majątku, ale dla idei. To jednak co po ostatnim akcie historyi tej, to jest po ślubie Iwickich nastąpiło wydaje mi się jeszcze szczególniejszem. Oto przedstaw sobie że Iwicki oznajmił świeżo zaślubionej żonie iż ślub ich nie odbył się wedle wszelkich żądanych form i przepisów, że zaniedbano w nim jednej z ważnych jakichś formalności, że tedy unieważnienie go nastąpić mogło w każdej chwili w którejby Marya go zażądała.

— Nie rozumiem małżeństwa z przymusu, rzekł do młodej swej żony, i oddawna jestem tego przekonania, że trudność otrzymywania rozwodów nie przynosi żadnych korzyści ani jednostkom ani ogółowi. Zapewniłem ci więc na całe życie możność używania dobrej i nieprzymuszonej woli. O mnie mowy tu być niemoże, ale ty Maryo, jeżelibyś kiedy pożałowała twego postanowienia, jeżelibyś zobaczyła szczęście twe gdzieindziej, powiesz mi jedno tylko szczere słowo a stanie się tak jak zechcesz.

Kto wie, czy kupiec ten będąc człowiekiem istotnie szlachetnym, nie jest zarazem człowiekiem bardzo zręcznym? czy wspaniałomyślność jego nie jest popartą tem przekonaniem że dla uczciwej i myślącej istoty ludzkiej, nie ma na świecie lepszej straży nad własną jej i nieprzymuszoną wolę? Jakkolwiekbądź, kobieta ta losy ma o tyle przynajmniej niepospolite o ile wyjątkowemi są jej własne usposobienia.

Będąc zamężną jest zupełnie wolną. Wyszedłszy za mąż bez miłości, śpiewa wciąż w listach swych do Klementyny ody i dytyramby na cześć swego szczęścia.

Otóż kochany Adamie, zmusiłem cię do przeczytania kawałka niby powieści. Mam nadzieję że nie będziesz mię za to łajał choćby dla tego że rzecz idzie o tę: „śliczną dziewczynę,” która kiedyś zajęła cię była sobą niepospolicie. Zresztą, poznasz zapewne wkrótce panią Iwicką. Wszak będziecie mieszkali w jednem mieście. Z tego powodu nawet miałem przed chwilą z Klementyną, rozmowę dość zabawną. Usiadła naprzeciw mnie z twarzą zamyśloną i z twoim listem w ręku.

— Mój Jerzy, rzekła, czy nie dałoby się zrobić tak aby pan Adam zamieszkał w innem jakiem miejscu tego świata, nie zaś koniecznie w Ongrodzie?

— A to dla czego? zapytałem zdziwiony.

Nie chciała wyraźnie mi odpowiadać. Przebąkiwała tylko coś o twojej dawnej znajomości z Maryą, o tem że lepiej byłoby gdybyście się nanowo nie zapoznawali i tym podobne rzeczy niewyraźne. Domyślam się że Marya musiała pisać Klementynie o tobie coś niezupełnie zwyczajnego. Nastroiło to na ton liryczno tragiczny wyobraźnią mojej Klemensi, która wbrew przyjaciółce swej, przepada za romantycznemi wyobrażeniami i historyami.

Naturalnie śmiałem się z jej przypuszczeń. Że ktoś komuś raz się podobał, miałżeby go już dla tego przez całe życie unikać.

Co do mnie pragnąłbym bardzo, mój Adamie, abyś zakochał się naprawdę, nie w kobiecie zamężnej naturalnie, ale żebyś zakochał się i ożenił. Uratowałoby cię to od czarnych myśli które cię coraz częściej napastują, wzbogaciłoby cię w nowe uczucia, dążenia i nadzieje. Nie zastanawiałeś się może nigdy nad tem jaką wagę posiada rodzina dla człowieka poważnie myślącego i pracującego. Jest to myślenie, pracowanie, cieszenie się i cierpienie we dwoje. Wraz z rodzicielskiemi uczuciami i obowiązkami przychodzi potem najściślejsza spójnia z resztą świata, najbezpośredniejsze zainteresowanie człowieka w sprawach ogólnych. Rodzina jest niewątpliwie najelementarniejszą formą szczęścia i czynu ludzkiego, pierwszą i najnaturalniejszą pobudką patryotyzmu.

Ty tego wszystkiego nie znasz, biedny samotniku, ale dziękuj niebu że jeszcze znać możesz. Zakochaj się i ożeń a za jednym zachodem uszczęśliwisz siebie i uradujesz niewymownie szczerego przyjaciela swego. *Jerzego.*

## LIST IV.

### Adam do Jerzego.

*Ongród, 3 Października.*

Kochany mój Jerzy! piszę do Ciebie z nowego miejsca pobytu. Miasta nie opisuję ci, bo wiem że je znasz trochę, jeśli zaś zechcesz bliższych szczegółów, weźmiesz pierwszy lepszy podręcznik jeograficzny i znajdziesz w nim kilkudziesiętną cyfrę ludności i co tam więcej sobie zechcesz. Przez tydzień nie rozpatrzyłem się jeszcze dostatecznie w nowem mem położeniu ale widzę że roboty będę miał sporo. Rozgłosowi pism moich zawdzięczam pewno, że chorzy oblegają już moje mieszkanie. Pamiętam jednak przedewszystkiem o tem, że jestem tu mniej dla tego aby leczyć ludzi niż dla tego aby zapobiegać powstawaniu ich chorób. Pod względem hygienicznym miasto urządzone jest jak najgorzej. Na szczęście, reformy są pod tym względem możliwemi i względnie łatwemi do wykonania. Wszystkie przecież pomysły moje i projekty są jeszcze dotąd w stanie zaczątków. Dla tego aby rozwinęły się pomyślnie muszę wprzódy należycie grunt zbadać i materyały przyszłych robót przygotować.

Teraz, bezpośrednia odpowiedź na list twój.

Nie jestem tak bardzo chorym jak to sobie wyobraziłeś, kochany Jerzy, jakkolwiek i to prawda że nie posiadam już nienaruszalnego zdrowia pierwszej młodości. Nie jest że to przecież wypadek nieuniknionv? Wiesz o tem tak dobrze jak i ja, że kto wiele myśli i uczy się ten wiele też wątpi, i kto mocno kocha, ten jeżeli nie często to przynajmniej niekiedy smutnym bywać musi. Nakreśliłem wyraz który tak często powtarza się w twym liście, nie stosuję go tylko do żadnej jednostki żeńskiego ani nijakiego rodzaju. Kocham naukę. Kocham także ludzkość a śród niej, wyłącznie i z największem skupieniem sił moich ten jej odłam, z którym wiąże mię wspólność mowy, obyczaju, cierpień i specyalnych niejako, położeniem wytworzonych obowiązków. Przez podwójną miłość tę nie ustaję w pracy ani na dzień jeden, jestem sługą wszystkich potrzebujących mię we dnie i w nocy, samotnym szczurem zakopanym w szpargałach wtedy, gdy inni bawią się i używają życia na różne sposoby albo śpią snem niezmąconym nigdy gorączką wiedzy ni rozpaczą zwątpień.

Cóż dziwnego jeżeli mnogie poszukiwania i zwątpienia, jeżeli szczere mozoły ducha wątpliwemi skutkami zwieńczane, zetrą, przedwcześnie niekiedy, z uczuć i imaginacyi człowieka który ich doświadcza pierwszą świeżość młodości, dadzą mu od czasu do czasu uczuć przedsmak niejakiego zmęczenia a humorowi jego, nie czyniąc go przecież czarnym, odbiorą wiecznie różową barwę?

Upewnić cię jednak mogę że nie czuję się bynajmniej nieszczęśliwym bo ani razu nie zapytałem siebie; jakim jest cel istnienia mego na tym świecie?

Bardzo być może zresztą iż sposobowi życia mego niedostaje potrzebnych mu, uzupełniających pierwiastków jakichś. Ależ jaka na to może być rada? Z tej której ty mi podajesz, przebacz że śmieję się szczerze. „Zakochaj się!” O, mój ty poeto! jakże bez śmiechu i zgrozy wyobrazić mógłbym siebie w roli gruchającego gołębia? Jakimże językiem przemawiałbym do bohdanki? Nie umiem mówić o niczem o czem specyalnie mawiać zwykły wszystkie bohdanki tego świata, to jest: o kwiatach, balach, sennych rojeniach, anielskich uczuciach; wstążkach i tiulach. Przypuszczając nawet że cudem jakimś, pomiędzy mną a bohdanką moją, liryczno-komiczne wstępy te mogłyby pozostać opuszczonemi, czy wiesz co nastąpiłoby potem? Oto wielka ruina Kartaginy czyli zburzenie życia mego dokonane za pomocą różnych szumów i szelestów które mogą być dla innych wielce zabawnemi ale których ja z gustu i z zasady cierpieć nie mogę. A osłabione nerwy, spazmy, podróże dla zdrowia, hysterye, melancholie, gorzkie urazy do świata i męża... Jestem lekarzem mój bracie, i dość napatrzyłem się na rzeczy podobne abym miał ochotę osobiście niemi się uszczęśliwiać.

Powiesz mi zapewne że wszystkie wyżej wymie

nione właściwości kobiecego rodu, istnieją tylko w pewnych warstwach społecznych i że są takie warstwy wśród których żyją istoty całkiem innej natury. Być może, lecz w jakiejże stronie świata tego istnieją Feniksy? gdzie szukać ich trzeba? Gdy zaś tylko mowa o szukaniu, rzecz zaczyna być trudną. Niemam czasu, a gdybym go i miał wolałbym już pojechać do Afryki aby wśród Babembów i Babisów poszukiwać źródeł Nilu, aniżeli puszczać się na nieciekawe wędrówki, po wynalazek własnego a wielce problematycznego szczęścia. W tej to potrzebie nieznośnego często i niemożliwego szukania, spoczywa słowo zagadki: dla czego ludzie pracujący na seryo, ludzie nauki szczególniej, pozostają częstokroć w dośmiertnym celibacie albo też zaślubiają pierwsze lepsze koczkodany, rodem bądź z kuchni bądź z salonów, z któremi spotkali się w chwili najżywszego poczucia najniższych swych, *tranchons le mot*, fizyologicznych potrzeb. Zdaje mi się że inaczej dziać się nie będzie, dopóki o wartości kobiety świadczyć nie zacznie jak świadczy o wartości mężczyzny, jawne i wszystkim widzialne życie pracy i czynu.

Czy kobiety z natury swej zdolnemi są do takiego życia? Rozwiązanie zagadnienia tego należy do pedagogów i moralistów. Co do mnie wiem tylko że jeżeli wszystko piszą i mówią o prababkach naszych z jednej strony, o prawnuczkach z innej, prawdą było i być ma, żałuję bardzo że nie jestem swoim pradziadem lub prawnukiem, niepodobna mi bowiem zaprzeczyć ani wysokiego znaczenia które posiada dla człowieka życie rodzinne, takie naturalnie jakiem być ono powinno, ani tej próżni którą brak jego stwarza w najlepiej nawet skądinąd urządzonem istnieniu.

Cóż robić? Nie wszyscy mogą być tak szczęśliwymi jak ów Iwicki, któremu żona piękna, wykształcona i szlachetna jak z nieba spadła! Za urywek niby powieści którą przysłałeś mi w swym liście nie gniewam się wcale. Wyznaję że historya małżeństwa w którem kobieta oddała rękę swą mężczyźnie różniącemu się z nią o wiele wiekiem, przywyknieniami, ukształceniem, dla tego przeważnie że u boku jego ujrzała miejsce na którem mogła zostać czynną służebnicą Boga światłości, zajęła mię niepospolicie. Pamiętam dokładnie teraźniejszą panią Iwicką, taką jaką widziałem ją dziesięć lat temu. Henryk nie myli się i nie przesadza. Miała ona ogromne oczy a małe usta o cienkich inteligentnych wargach, które często drżały, zdradzając przez to, jeżeli się nie mylę, wrażliwą i głęboko czułą naturę. Co do barwy jej oczu które: nie dojrzał Henryk, mogę uwiadomić Was obu, że jest a przynajmniej była ona mieniącą się szafirem i srebrem. Były to właściwie szafirowe oczy ale pływały w blaskach ciemnego srebra. Podziwiaj lokalność pamięci mojej i obdarz co prędzej bohaterkę której z powieści swych podobnemi oczami. Obdarz ją tylko szczerze zadziwiającem na wiek jej bogactwem umysłowych wiadomości i częstemi rumieńcami które oblewając twarz jej nadawały jej wyraz wpółdzieiczy, wpółognisty a będziesz miał gotowy typ idealnej dziewczyny.

Podziwiaj moją pamięć Jerzy i pozwól Henrykowi aby śmiał się z zaciekłości młodego ideologa, który dla tego aby przybyć coprędzej i bez dystrakcyi na obrane stanowisko, rzuca spotkaną śród drogi dziewczynę taką, nie mówiąc jej nawet swego nazwiska i zrywając umyślnie wszelką nić któraby mogła wiązać jego z nią i wzajemnie. Dziewczyna ta była najpiękniejszą realnością życia jaką kiedy na świecie spotkałem, według więc tego co utrzymuje świat o ludziach pozytywnych do rzędu których się zaliczam, powinienem był porzucić dla niej wszelkie abstrakcye. Tymczasem stało się przeciwnie. Miałem głowę tak pełną mojej idei że dla niej porzuciłem kto wie? najrealniejsze może na ziemi szczęście. Co dowodzi że nie śniło się nawet o tem krytykom filozoficznych doktryn, jaki zaciekły fanatyk ideałów siedzieć może w skórze najkrańcowszego pozytywisty! W streszczonej historyi którą mi przesłałeś czuć woń poematu. Szczególne mi ona sprawia wrażenie w dniach tych, w których właśnie zajęty jestem pracą tyczącą się ścieków, wyziewów, i śmieci miejskich... Sprawia mi ono takie wrażenie że chwilami przestaję czytać i pisać i staję przy oknie aby popatrzyć na widok który mam przed sobą. Tłem widoku tego jest wielka, czworokątna kamienica, przedzielona z domem w którym mieszkam wązką ulicą i sporym ogrodem. Teraz gdy liście z drzew opadły, kamienicę widać z okien moich jak na dłoni. Domyślam się że mieszkać w niej musi jakaś mieszczańska rodzina, zamożna i wesoła. Co wieczór oświetla się tam dość rzęsisto cały rząd okien i w ramach białych firanek zjawiają się cienie różnych ludzkich postaci, to wysokiej, kształtnej kobiety, to dziecka które wskakuje na wysokie sprzęty i czepia się jej szyi, to mężczyzny z kwadratową postacią którego usta szeroko otwarte oznajmują mi że śmieje się głośno i rubasznie. Pełno tam życia i ruchu na które spoglądam czasem z pewną przyjemnością. Zdarza się to jednak zazwyczaj wieczorami. W dzień raz tylko spojrzałem na okna mego vis-à-vis i w jednem z nich zobaczyłem tę samą zapewne kobietę, której ładny cień widuję na złotem tle wieczornego oświetlenia. Miała na sobie pąsowe jakieś ubranie i z tego powodu wyglądała z za wielkich szyb jak gorący i wesoły płomień.

Bądź zdrów mój Jerzy. Czas mi już od rozmowy z tobą wracać do moich ścieków, wodociągów i t. d.

Przyjaciel twój

*Adam.*

## LIST V.

### Marya do Klementyny.

*Ongród, 10 Października.*

Moja ty droga marzycielko! Jak to znać zaraz że jesteś żoną powieściopisarza a więc człowieka który przez całe życie odmienia (na papierze) słowo kochać, we wszystkich trybach, czasach i osobach!

„Nie kochałaś nigdy, piszesz do mnie, i nie kochasz teraz. Sofistką jesteś. Wykreśliłaś miłość z planu i rachunku twojego życia!"

Któż ci powiedział że ja wykreśliłam miłość z rachunku i planu mego życia? O ile pamiętam, mówiłam i pisałam ci zawsze że przeciwnie, te to właśnie uczucie zarządziło przeważnie i rządzi mojem życiem. Widocznie więc nie zrozumiałyśmy się na tym punkcie i przykro mi to. Pozostać tak nie może. Porozumiejmy się.

Porozumiejmy się naprzód co do znaczenia wyrazu: miłość. Alboż tobie także, moja droga Klementyno, tak jak większości a nawet ogółowi kobiet, wyraz ten nie nasuwa żadnego innego pojęcia ani obrazu, jak *jego* i *ją*, dwie pary oczu utopionych w sobie, dwie pary rąk spojonych w uścisku, dwie pary warg szepcących ogniste zaklęcia, dwa serca przebite grotem skrzydlatego bożka, wszystkiego słowem po dwoje? Co do mnie rozmijam się z powszechnie przyjętem obyczajem i obok wyrazu miłość, zamiast uświęconej cyfry 2, stawiam — nieskończoność. Nieskończoność czego? zapytasz.

Odpowiadam: alboż przebywamy obecnie poranny zmierzch życia ludzkości, aby złożony w nas przez przyrodę pierwiastek sympatyczny, objawiać się mógł i musiał w jedynej tylko i pierwotnej formie pociągów, wiodących ku sobie mężczyznę i kobietę?" Dla ludzi jaskiń i lasów, miłość nie była zapewne czem innem jak krótką dobą fizycznych zapałów wszystko bowiem co istniało po zatem było dla nich nienawiścią, walką, pustką i niewiadomością. Ale z pierwszą rodziną która stale i na długo zamieszkała pod pasterskim namiotem, powstała w ludzkości pierwsza idea społeczna, potem utworzyła się gmina, naród, ojczyzna i jak sznur gwiazd wiązany przez geniusze wieków, zaświeciły nad światem ideały, rządzić i kierować mające jego przyszłością. Wyraz miłość, pojmowany w zaraniu dziejów ludzkich w jednem rozumieniu, rozpadł się na nieskończoność rozumień i teraz mężczyzna kochać może nietylko kobietę a kobieta mężczyznę, ale kochać oni mogą: przyrodę którą rozumieją, prawdę i naukę która ją odkrywa, piękno i sztukę która ją objawia, ziemię z której soków i powietrza czerpią swoje życie, społeczność której mową mówią, bólami cierpią i nadziejami spodziewają się, rodzinę która społeczności tej najtrwalszą jest opoką, pracę która daje cel i wartość życiu, sprawiedliwość gwałconą, słabość uciśniętą, męztwo walczące, potęgę twórczą, geniusze torujące drogi ludzkości, ciche cnoty budujące w ukryciu podwaliny jej szczęścia, wszystko co wre albo budzi się w łonie ludzkości, waży jej losy, przyświeca jej przeznaczeniem, słowem — nieskończoność!

Czytałam niedawno w książce jakiejś o człowieku pewnym wielkich zdolności i zalet, który umierając we wszechstronnej nędzy utrzymywał, iż zdolności i zalety przepadły mu marnie dla tego że nigdy nie kochał. Ci co słyszeli to jego wyznanie wytłómaczyli je w ten sposób: iż nie kochał on nigdy żadnej kobiety. Ja tłómaczę je sobie w innym sensie. Człowiek ów nie kochał żadnej z owych wielkich i pięknych rzeczy których imiona wypisałam u góry stronnicy. Przypuszczam nawet iż kochał on kobietę nie jedną może ale pomimo miłości tej, z braku innych, zalety i zdolności jego przepadły.

W ten sposób rozumiem i czuję miłość. Będziesz-że jeszcze utrzymywała że nie kochałam nigdy i nie kocham?

Wiem zresztą; idzie ci przeważnie o jednego człowieka o owego uświęconego *jego*. Prawda, nie byłam zakochaną w Michale gdy zostawałam jego żoną, czyliż przecie nie kochałam go? Czy szacunek i przyjaźń, zaufanie bez granic i rzewna wdzięczność, nie są według Was ingrendyencyami godnemi do złożenia uczucia miłości? Jeżeli zaś w miłość po Waszemu pojętą ingrendyencye te nie wchodzą, dziękuję za nią i rada jestem że nie znałam jej nigdy.

Prawda: zostając żoną Michała nie czułam nieokreślonych rozrzewnień i również niejasnych radości w takim nawet stopniu, w jakim ogarniały mię one w jednej owej sielankowej chwili mego życia, którą ci opisałam niedawno. Czyliż przecie nie byłam szczęśliwą?

O! gdybyś była zemną w dniu w którym po raz pierwszy przestąpiłam próg domu mającego być *domem moim* na zawsze, w którym rozejrzałam się po tych pokojach obszernych, widnych lecz zimnych, sztywnych i czekających na mnie abym w nie wwiodła ruch, czynność, wesołość, czułość i piękność, w którym przycisnęłam do mej piersi troje sierot odzyskujących we mnie matkę i nieśmiało zrazu mówiących mi: matko! gdybyś wiedziała jak wieczorem usiadłszy przed ogniem komina, we dwoje z Michałem, mówiliśmy o przeszłości mojej i jego, o przyszłości *naszych* dzieci, o znaczeniu i obowiązkach jego zawodu, gdybyś była wtedy ze mną i patrzała we mnie uwierzyłabyś że byłam szczęśliwą!

Zresztą nie utrzymuję bynajmniej ażeby ten rodzaj miłości o który Wam wszystkim tak wyłącznie

chodzi, nie miał też prawa bytu. Owszem, przyznaję że jest i musi on być ważnym czynnikiem w życiu ludzi.

Ale jakiemiż bywają najpowszechniej te wasze uwielbiane, ubóstwiane, za jedyną podstawę i uciechę życia ludzkiego uważane miłości? Znam trzy ich najbliższe mi przykłady. Wiesz o bolesnej historyi mojej matki. Chwilowe upojenie, ból potem, wyrzuty sumienia i śmierć przedwczesna z jednej strony, pustka domu, złamane życie człowieka i osierocone dziecię z innej strony, oto treść jej i skutki. Inną miłością kochała Michała pierwsza jego żona.

Portret jej znajduje się w naszym domu. Kobieta to była malutka i kształtna, z drobną główką oblaną zdrojem płowych włosów, z okrągłą białą twarzyczką i niezapominajkowemi oczami. Mieszczaneczka ładna i wdzięczna, pragnęła być wielką panią. Stroiła się, balowała, przemieniała dom męża w miejsce zabawy dla wszystkich, męczarni dla niego. Nie mając lat trzydziestu wychodząc z balu przeziębiła się i umarła. Jednakże kochała ona Michała po swojemu zapewne ale wiernie i czule. Nie przeniewierzyła mu się nigdy, przed skonem całowała jego ręce. I cóż dobrego sprawiła miłość ta? czemu zapobiegła? co po niej zostało, prócz gorzkich wspomnień w piersi mężczyzny, kolebek opuszczonych i grobu z białym pomnikiem?

Inaczej jeszcze kocha siostra Michała, Klotylda.

Od 18-stu do 40-stu lat swego życia, kocha ona ciągle to tego to owego, a jeżeli nie kocha, to w chwilach przestanku kochać pragnie. Kochanie to i pragnienie sprawia że przez całe życie swe wzdycha ona, wyrzeka na los swój, stroi się w najpoetyczniejsze z barw i kwiatów, pości wtorki do Ś-go Antoniego i nic a nic nie robi.

Oto masz trzy gatunki miłości, którym dać można następne epitety: burzliwa, dziecinna i ślamazarna.

Z trzech kobiet które je doświadczały, jedna przedstawia postać tragiczną, druga litości godną, trzecia — nudną. Nie wiem jak o tem sądzisz, bo mnie się zdaje że wszystkie te trzy rodzaje miłości, miały i mają źródło swe nie w pierwiastku sympatycznym natury ludzkiej ale w najczyściej egoistycznym.

(*d. c. n*).

# PODRÓŻ DO KRAINY BAJADEREK.

## Część trzecia.

### Bajaderki.

(Dalszy ciąg).

Jeden z moich rodaków imieniem Albert, zakochał się szalenie w bajaderce noszącej nazwę Radhamonie. Pozyskawszy wzajemność młodej dziewicy, wykradł ją z pagody indyjskiej i ukrył w swojem mieszkaniu. Dla uprawnienia stosunku Radhamonie ochrzczoną została i poślubioną wedle wszelkich przepisów prawnych.

Wypadało jednak zabezpieczyć się od możliwej zemsty Braminów.

Albert udał się do miejscowego sądu sprawowanego przez Anglików, którzy oświadczyli, że urzędownie udzielą wszelkiej możliwej opieki młodym małżonkom, ale radzą wystrzegać się prywatnej zemsty Braminów, prawdziwych mistrzów na polu zdradzieckich podstępów.

Rzeczywiście skarga kapłanów indyjskich o wykradzenie bajaderki, powierzonej ich pieczy, odrzuconą została jako nie przedstawiająca czynu kary godnego; wypadało przeto czuwać z tem większą cierpliwością nad własnem bezpieczeństwem.

Za radą Radhamonie Albert oddalił służbę indyjską i wziął na to miejsce Muzułmanów, jako nieuległych władzy Braminów. Został jednak dawny ogrodnik i odźwierny, bo wyznawcy Mahometa w Indyach, uważaliby za ubliżenie uprawiać ogród lub otwierać bramę.

Czuwano też nad nimi bardzo starannie, nie dozwalając przystępu ani do kuchni ani do mieszkania zajmowanego przez państwa Albert.

Po upływie kilku miesięcy spokojnych, młody awanturnik nabrał przekonania, że Bramini zapomnieli o całej sprawie i począł okazywać mniejszą przezorność. Znająca ich lepiej Radhamonie, ze swej strony zdwoiła baczność, czuwając starannie nad przyrządzanemi potrawami, również jak nad wodą i innemi napojami.

Wypadki okazały że miała najzupełniejszą słuszność, chociaż pomyliła się sądząc, że Bramini użyją trucizny za narzędzie zemsty.

Użyli oni środka prawdziwie piekielnego, nieznanego w Europie.

Wedle zwyczaju indyjskiego, młodzi małżonkowie sypiali przy otwartych oknach na plecionkach i dywanach położonych na posadzce.

Raz przed świtem Albert przebudzony został delikatnem pociągnięciem za włosy. Na uczynione zapytanie usłyszał drżący głos swej małżonki, mówiącej widocznie pod wpływem największego wzruszenia.

— Jeżeli ci życie miłe nie zrób najmniejszego ruchu, bo inaczej zginiemy oboje.

Albert zadrżał pomimowoli, bo dźwięk głosu Radhamonie był tego rodzaju, że zwiastował jakieś nadzwyczajne niebezpieczeństwo.

— Co się stało? zapytał młody człowiek.

— Jesteśmy otoczeni przez okularników, jest ich najmniej dwustu w naszym pokoju. Przed chwilą zobaczyłam jak do naszej sypialni rzucone zostały przez otwarte okna trzy worki. Są one z pewnością napełnione wygłodzonemi wężami, aby je uczynić tem straszliwszymi. Czy słyszysz szmer przez nich wydawany?

Rzeczywiście od strony okna dochodził do uszów Alberta syk gardłowy, przeplatany głosami podobnemi do kwakania kury znajdującej robaka na ziemi.

Zrozumiał w jednej chwili jak straszne niebezpieczeństwo zagrażało.

— Pamiętaj nie zrobić najmniejszego ruchu, mówiła Radhamonie, a ja postaram się wyjść. Chociażbym nawet była ukąszoną w przejściu, to zawsze znajdę czas do rozkazania służącym, aby przywołali czarnoksiężników.

Zamiar podobny spowodowałby nieomylnie ukąszenie węża, a tem samem śmierć młodej kobiety, to też Albert stanowczo zalecił jej zostać na miejscu.

Chcę cię ocalić, mówiła Radhamonie z uniesieniem.

— Zaklinam cię na wszystko moja najdroższa, zostań. Jeżeli będziesz usiłować wyjść, to ja pójdę za tobą, a przynajmniej zginiemy razem.

Nie było środka na przełamanie oporu kochającego męża.

Trzymając się za ręce, oczekiwali w milczeniu na dalszy bieg wypadków.

Niezadługo poczuli pierwsze dotknięcie przesuwających się węży. Ciała zimne i klejowate dotykały ich twarzy, rąk, nóg, a mimo tego wypadało leżyć bez ruchu jak głaz, bo tylko ten środek mógł ocalić od niechybnej śmierci.

Taki stan rzeczy trwał całe dwie godziny, młodzi małżonkowie byli prawie na pół umarłemi.

Nareszcie począł świtać dzień, oczekiwany z nadzwyczajnem upragnieniem, bo on tylko mógł przynieść ocalenie.

Nagle posłyszeli dźwięki kobzy bengalskiej, i drzwi od sypialni otwarte zostały po cichu.

Był to ogrodnik, który jak to wspomnieliśmy był Indyaninem czystej krwi.

— Czy żyjecie? czyście umarli? zapytał ścicha, bo szmer węży w waszej sypialni doszedł aż do moich uszów.

— Żyjemy, odpowiedziała Radhamonie.

— To i lepiej, rzekł, postaram się wyprowadzić okularników.

Mówiąc to, począł uderzać w struny kobzy wydając tony płaczliwe i przechodząc kolejno od silnych dźwięków aż do niewyraźnego szmeru. Odgłosy wydawane przez węże nagle ustały. Ogrodnik począł schodzić zwolna po schodach, a za nim posuwały się obrzydliwe gady. W sypialni po dawnym szeleście nastąpiła zupełna cisza.

Zanim Albert zdołał przeszkodzić, Radhamonie zapaliła lampę, a przy jej blasku dostrzegli jeszcze czterech czy pięciu węży, stanowiących widocznie tylną straż całego korpusu.

Łatwo zrozumieć z jaką radością powitali swoje ocalenie. Niebezpieczeństwo jednak oddziałało tak silnie na młodą kobietę, że zemdlała, a skoro przyszła do przytomności, przez znaczną część dnia ulegała ustawicznym atakom nerwowym.

Nazajutrz Albert udał się do pagody indyjskiej i oświadczył Braminom, że jeżeli jeszcze raz przytrafi mu się coś podobnego, to nie będzie szukał sprawiedliwości u sądów angielskich, ale sam sobie takową wymierzy, a mianowicie czterech lub pięciu kapłanów pierwszych lepszych położy trupem.

Pobyt jednak dalszy wśród ciągłej obawy był niepodobnym, to też młodzi małżonkowie przenieśli się w inne strony, gdzie z uprawy kawy ciągnęli znaczne zyski.

Sprawa cała pokryta była tajemnicą.

Prawdopodobnie ogrodnik indyjski należał do spisku, a później chciał zatrzeć ślady zbrodni przeczuwając, że na wypadek śledztwa, Braminowie zdołają uniknąć odpowiedzialności, a on jako paria będzie kozłem ofiarnym.

Nie zmienił jednak tłomaczenia, twierdząc pomimo obiecywanych nagród, że nie wiedział o niczem; że nie miał żadnych stosunków z Braminami; że tylko szmer węży ostrzegł go o grożącem niebezpieczeństwie jego pana.

Wypadek z wężami zadziwi niejednego Europejczyka, jest on jednak bardzo pospolitym w Indyach. Po truciznie zwykły to środek zemsty. Wiele osób ginie w ten sposób, a policya angielska uspakaja swoje sumienie pisząc na aktach zejścia *śmierć wypadkowa*.

W wigilią dnia przeznaczonego na zaślubiny młodej pary, Nalla-Tamby-Moreliar złożył mi wizytę wraz z przyszłym swym zięciem, ponawiając zrobione już poprzednio zaproszenie. Oblubieniec miał najwyżej siedemnaście lat życia, należał do jednej z pierwszorzędnych rodzin kasty Wellaja i nosił miano Ponou-Rassendren-Modeliar.

Po ceremonialnem przyjęciu indyjskich gości, wyszedłem następnie na ulicę, aby obejrzyć porobione przygotowania.

Krewni i przyjaciele tak rodziców panny młodej jakoteż i pana młodego, przybyli na dzień oznaczony, już nietylko z samej wyspy, ale i ze stałego lądu Indyi. Określenie to oznacza bez mała prawie całą kastę Vellaja. Wszystkie domy miasteczka przepełnione były przybyszami, dla uczczenia których

krużganki oświetlono, niezliczoną liczbą różnokolorowych latarni. Prócz tego ognie bengalskie oświetlały tak pagodę, jakoteż znakomitsze gmachy, a gęsto puszczane sztuczne ognie stanowiły prawdziwą uciechę dla zebranych tłumów, dając próbkę przepychu dnia następnego.

Oprócz gości zaproszonych, przybyli ze wszystkich stron kuglarze, czarodzieje wężowi, żebracy i fakirzy, aby upiec własną pieczeń przy cudzem ognisku. Wielu z nich przepasanych było okularnikami żywemi, mając naokoło rąk zamiast bransoletek straszliwe węże zwane corallilo, których ukąszenie zadaje śmierć w ciągu kilku minut. Inni znowu przybyli w towarzystwie tygrysów oswojonych i zamiast poduszek opierali na nich głowy podczas nocy dla wypoczynku. Była także znaczna liczba fakirów. Klęcząc gołemi kolanami na piasku wśród kurzawy, przyspasabiali się do męczarni, jakie zadać sobie mieli dobrowolnie w dniu następnym. Tłumy te zgromadzone na jednem miejscu, przy świetle przedstawiały obraz niezwykły i powiem szczerze rażący swą dzikością.

Wypada bowiem nadmienić jeszcze o żebrakach, wypowiadających w śpiewie improwizowanym cudowne czyny rozmaitych bożków, jakoteż członków rodzin dwojga oblubieńców. Na placach publicznych znajdowała się znaczna liczba słoni, ryczących przeraźliwie i wywijających trąbami; u ich stóp spoczywali przewodnicy z rodzinami i niemowlętami. Żaden niepokój nie zakłócał ich snu, bo wiedzieli, że te roztropne zwierzęta obronią ich od wszelkiej napaści. Od dawna miasteczko Tamblegam nie było świadkiem podobnie świetnej uroczystości.

Nazajutrz o świcie rozpoczętą została uroczystość zaślubin.

Na ogromnym placu, na którym zbudowany był dom Nalla-Tamby, zgromadziło się co najmniej piętnaście tysięcy osób w jak najrozmaitszym stroju.

Orszak weselny uporządkowany był wedle ustalonego zwyczaju.

Na czele znajdowały się słonie, niosące na grzbietach podarunki dla kapłanów, składające się po większej części z jedwabi i kaszmirów. Następnie bajaderki otaczały posąg Wischnou, ustawiony na wspaniałym wozie ciągnionym przez dwanaście bawołów. Zaraz za nimi pomieszczono dwie bogate lektyki, wyrobione z kości słoniowej, złota i jedwabiu, a przygotowane dla państwa młodych. Nareszcie postępować mieli zaproszeni goście w dowolnym porządku.

Po obu stronach drogi jaką miał przebiedz orszak weselny, znajdowali się kuglarze, żebracy i tym podobni darmozjady.

Muzyki nie było, bo zachowano ją na uroczystość wieczorną.

Skoro tylko promienie słoneczne oświetliły trójkąt metalowy znajdujący się na pagodzie indyjskiej, natychmiast dał się słyszeć odgłos trąby wychodzący ze świątyni.

Lackmy, córka Nalla-Tamby-Moreliar jakoteż jej narzeczony Ponou-Rassendren wyszli z mieszkania i zasiedli w przygotowanych dla nich lektykach.

To było hasłem pochodu.

Słonie wyuczone ruszyły naprzód bez żadnego znaku potrząsając z dumą trąbami przyozdobionemi w wieńce kwiatów. Bajaderki poczęły przyśpiewywać i tańczyć około posągu posuwającego się zwolna. Dalej postępowała rodzina i zaproszeni goście.

Służba znajdująca się w odpowiednich odstępach, rzucała na przechodzących prawdziwy deszcz kwiatowy, oprócz tego na ustawionych trójnogach, zapalono rozmaite pachnidła w takiej obfitości, że powietrze stało się prawdziwie duszącem.

Żebracy zawodzili pieśni religijne, której zwrotki powtarzane były przez cały tłum zebrany.

Nagle jakiś szmer niezwykły przebiegł całe zebranie. Był to znak dany dla fakirów do rozpoczęcia prawdziwych tortur, celem uczczenia weselnego grona.

Na wierzchołkach słupów wbitych w ziemię prostopadle, pomieszczone były koła obracające się z nadzwyczajną szybkością. Na każdem z nich znajdowali się fakirzy zawieszeni na żelaznych hakach. Z uśmiechem śpiewali wesołe pieśni, jakby nie czuli nietylko najmniejszego bólu, ale spoczywali na łożu wysłanem różami.

Fakirzy przygotowani są przez Braminów w tajemnych zakątkach świątyń do właściwego im zawodu.

Środki jakich używają do nakłonienia ludzi będących przy zdrowych zmysłach do rozrywania sobie ciała, nie są wiadome, a jednakże niezaprzeczenie jest to bardzo ciekawa okoliczność do zbadania. Dotychczas wzbronionym jest stanowczo Europejczykom wstęp do świątyń indyjskich. Bramini wystawią wszystko na sprzedaż, nawet córki i żony własne, ale strzegą pilnie tajemnic religijnych i dla ich przechowania gotowi są nawet ponieść śmierć męczeńską.

Zepsucie z jednej, fanatyzm z drugiej strony.

Ponieważ zaślubiny nie zbiegały się z uroczystością dojrzałości Lackmy, z tego powodu ceremonia religijna była bardzo krótka. Zasadzała się ona na obmyciu ciał państwa młodych w poświęcanym stawie i na przemowie kapłana tej osnowy.

„Niech Brahma połączy wasze dusze nierozerwanym węzłem. Oby serca wasze nie znały uczucia niechęci lub zapomnienia. Mąż zaniedbujący swej małżonki przeklętym jest przez Boga, podobnież jak żona zapominająca męża.

Zachowajcie się przyzwoicie w pożyciu małżeńskiem.

Poświęćcie Bogu najstarszego syna, aby miał kto dopełnić po waszej śmierci obrzędu pogrzebowego, oczyszczającego wasze dusze i dozwalającego im wejść do przybytku szczęścia.“

Po ukończonej przemowie, orszak weselny w pierwotnym porządku wrócił do mieszkania ojca panny młodej, ponieważ Ponou-Rassendren-Modeliar zamieszkiwał w innej stronie wyspy.

Na progu domostwa oblubieniec obdarzył młodą swoją małżonkę niezwykłemi podarunkami. Dał jej bowiem ryżu smażonego, młode koźlę z czerwoną siercią i dwa gołębie.

Lackmy wspólnie z mężem zjadła ryż smażony, wypuściła na wolność ptaki, a wziąwszy na ręce koźlę przestąpiła próg wymawiając następujące wyrazy:

„Jako dziewica przepędziłam życie bez skazy. Jako mężatka niech raczej utracę wzrok, nimby oczy moje miały spocząć na twarzy innego mężczyzny prócz mego męża. Niech utracę głos przed wymówieniem wyrazów miłości mających dojść do innych uszów, aniżeli do uszów mego męża. Niech raczej umrę, a nie dozwolę aby ręka obcego mężczyzny miała się dotknąć mego pagne.“(*)

Taka przemowa Bramina jakoteż przysięga młodej mężatki, biorą swój początek w pierwszych czasach patryarchalnych.

Ryż zjedzony razem oznacza ich wspólny żywot na ziemi. Gołębie wzlatujące w powietrze oznaczają związek ich dusz w niebie, jeżeli ich postępowanie będzie godłem niewinnego baranka trzymanego na rękach oblubienicy.

Zaiste obrządkowi temu nie brak pewnej wzniosłości.

Następnie Ponou - Rassendren zawiesił na szyi Lackmy złoty łańcuch z przyczepioną małą tabliczką, na której wyryte były oznaki kasty dwojga małżonków.

Obrzęd małżeństwa został spełnionym z wyjątkiem jeszcze jednej formalności, jakiej prawdopodobnie żadna z kobiet europejskich nie chciałaby się poddać.

Manou, najdawniejszy prawodawca indyjski, pisząc o małżeństwie wyraził się w następujący sposób:

„Człowiek rozumny nie powinien zaślubiać kobiety dotkniętej suchotami, dyspepsyą (trudność trawienia) trądem, lub chorobami nerwowemi. Niech pojmie za żonę kobietę zbudowaną silnie, obdarzoną ładnem imieniem, mającą wdzięczne ruchy przypominające łabędzia lub młodego słonia. Ciało jej powinno być pokryte lekkim puszkiem, a wszystkie członki przyzwoitej okrągłości.

Odpowiednio do powyższego przepisu, jeżeli mężczyzna dostrzeże, że żona utaiła w chwili ślubu jedną z powyżej wymienionych chorób, ma prawo wydalić ją ze swego domu. Jeżeliby jednak choroba objawiła się po raz pierwszy po ślubie, to okoliczność ta nie daje prawa do rozwodu.

Dla zapobieżenia nadużyciom mogącym wyniknąć z tego względu, wyższe kasty indyjskie zaprowadziły zwyczaj przedstawiania swych córek pewnej liczbie świadków mających stwierdzić znaleziony stan zdrowia.

Czterech mężczyzn uproszonych jest w tej mierze przez ojca panny młodej, a czterech przez pana młodego.

Spisują oni następnie akt przechowany starannie w archiwum rodzinnem, jako mający trzymać na wodzy męża, gdyby mu przyszła ochota zmienić swoją połowicę bez prawnej przyczyny.

Byłem zaproszony do grona świadków i podpisałem z najsumienniejszem przekonaniem pismo stwierdzające że młoda Lackmy nie posiada najmniejszej wady cielesnej.

Nalla-Tamby ojciec panny młodej spalił na złotym trójnogu poświęcone zioła, a później wymówił te słowa:

„Ponou-Rassendren-Modeliar uznaję cię w obec zebranych osób za mego zięcia, i oddaję ci moją córkę Lackmy. Odtąd dwie wasze istoty i dwie wole niech stanowią jedną istotę i jedną wolę.

W pożyciu waszem starajcie się zachowywać wszystkie przepisy wskazane przez Manou, jako też zawarte w księgach świętych.

Z kolei nastąpiły powinszowania zebranych osób i składanie podarunków.

Nikt nie był zwolnionym od tego obowiązku, każden robi ofiarę odpowiednio do swej możności.

Zwyczaj ten znajduje swoje usprawiedliwienie w legendzie dotyczącej pustelnika *Vaïdhêva* uważanego w ogóle za świętego. Przybył on niespodzianie na wesele pięknej Bahvany z potężnym królem Viswamitra, a nie mając przy sobie żadnego przedmiotu drogocennego, złożył w podarunku pannie młodej włos wyrwany ze swej brody.

Włos ten przechowanym był starannie w złotej szkatułce i uważanym był za czar (talizman) rodzinny.

Składki zebrane dla młodej Lackmy wynosiły około miliona roupie, co na monetę francuzką znaczy półtrzecia miliona franków.

Kwota tak wysoka nie zadziwi nikogo, ze względu

(*) Pagne, chustka a raczej fartuszek w stroju Indyanek.

że kasta Vellaja jest najbogatszą i że było zaproszonych najmniej piętnaście tysięcy osób.

Duży także wpływ na wysokość składki wywiera próżność właściwa Indyanom. Każden bez wyjątku chce się odznaczyć i hojnością większą od innych zwrócić na siebie uwagę.

Po złożeniu podarunków nastąpiło prawdziwe wesele, to jest uczta trwająca dni piętnaście.

Przyjęcie było prawdziwie królewskie, bo obejmowało wszystkich przybyszów bez wyjątku, nawet żebraków śpiewających na rogach ulic.

Bajaderki zwracały na siebie ogólną uwagę. Tańczyły codziennie publicznie godzinę lub dwie, a później kryły się w świątyni poblizkiej, ze względu na małe swoje znaczenie nie mającej tego rodzaju kapłanek.

W pośród zebranych zwrócił moją uwagę Indyanin dumnej postawy i wysokiego wzrostu, którego los nie powinien być obojętnym dla Francyi.

Jeden bowiem z jego przodków dał dowody wysokiego poświęcenia dla naszego narodu.

*(d. c. n.)*

# Kronika Naukowa.

przez H. K.

Nowe machiny i przyrządy. Machina pisząca. Telegraf mówiący.

P. Remington, inżynier amerykański, wynalazca słynnych karabinów, oraz właściciel ogromnej fabryki machin do szycia, obmyślił i wykonał *machinę piszącą*, która zdaje się posiadać wszelkie warunki użyteczności i praktyczności. Urządzona zaś jest w sposób następny:

Jest to niewielka szafka z klawiaturą u dołu, mającą 44 klawisze we dwa rzędy ułożone, każdy z nich oznaczony jest jedną literą alfabetu, cyfrą lub znakiem pisarskim. Wewnątrz każdemu klawiszowi odpowiada młoteczek, mający na swym końcu zwyczajną czcionkę drukarską; młoteczki jeden przy drugim ułożone są tak iż końcami swemi tworzą koło. Za dotknięciem klawisza odpowiedni jemu młoteczek się podnosi, dochodzi do środka koła i tam uderza swą czcionką o papier na walec nawinięty. Pomiędzy zaś walcem a czcionką przesuwa się wstążka napojona odpowiednio przygotowanym atramentem, czcionka zatem uderzając o walec przyciska do niego i wstążkę, zatem wypukłością swoją odbija się na papierze. Po uderzeniu, młoteczek na sprężynie wraca na swoje miejsce, a ruch ten posuwa także walec z papierem z prawej strony w lewą o odległość jednej litery, tak że drugi młoteczek tuż obok uderzy i swoją literę wydrukuje. Ukończywszy jeden wyraz, ażeby dać większy odstęp między niemi, potrzeba dotknąć linijkę u dołu klawiatury, wtedy walec przesunie się cokolwiek więcej. Gdy pismo dochodzi do końca jego, głos dzwonka wewnątrz machiny ostrzega o tem, wtedy poruszywszy drążek z boku jej umieszczony, walec z papierem odprowadza się znowu w stronę prawą a jednocześnie wykonywa on mały ruch około swej osi tworząc przedział jaki między wierszami być powinien. Wstążka zaś zwilżona atramentem przesuwa się nieustannie po nad walcem i między dwoma rezerwoarami, w których potrzebną ilość płynu czerpie. Machina ta, jak widzimy z tego opisu, wybornie jest pomyślana, a jej mechanizm bardzo prosty, nie łatwo ulega zepsuciu, posiada więc wszystkie warunki użyteczności, to też w Stanach Zjednoczonych i w Anglii weszła już w użycie po biurach i administracyach, a może być wielkiem dobrodziejstwem dla ludzi mających wzrok osłabiony, albo doświadczających drżenia rąk bardzo pisanie szybkie utrudniającego. Nadto machina tak jest urządzona, iż walec z papierem do połowy po nad wierzch szafki wystaje, dozwalając natychmiast przeczytać każdy wiersz napisany.

Do używania tej machiny potrzeba cokolwiek wprawy, głównie w oswojeniu się z klawiszami, aby po nich nie szukać liter. Parę dni czasu wystarcza na to i łatwo dojść do wielkiej szybkości w pisaniu. Pewna angielka w Redakcyi francuzkiego dziennika naukowego „La Nature" która posiadając tę machinę, rysunek jej i dokładny opis podaje, pisała z łatwością 90 wyrazów na minutę, czego i w połowie nie uskutecznią najszybciej piszące pióra.

Z pomiędzy nowych wynalazków, świat uczony zajęty jest bardzo przyrządem profesora Grahama Bella, a mianowicie *telefonem* czyli *telegrafem mówiącym*. Zrazu wiadomość o tym dziwnym wynalazku uważaną była za kaczkę dziennikarską, tem bardziej iż była podana przez gazety amerykańskie, które słyną z wymyślania i rozgłaszania rozmaitych rzeczy niebywałych. Pierwsza wiadomość o tym przyrządzie była następującą:

„Doświadczenia z telefonem odbywały się na linii telegraficznej Boston-Malden, (10 kilometrów długiej). P. Bell był na stacyi w Bostonie a profesor Watson w Malden. Watson wymówił kilka wyrazów, które za pomocą telefonu wyraźnie na stacyi w Bostonie słyszeć się dały. Zdumienie słuchaczy było niezmierne. Nie potrzeba było mówić głośno, wyrazy cicho wymówione, nawet szept słyszeć się dawał. P. Watson czytał kilka ustępów z dziennika; dalej publiczność zawiązała z nim rozmowę. Na wszystkie pytania odpowiadał on wyraźnie, nawet nazywając pytające go osoby po imieniu, *gdyż poznawał je po głosie*. Następnie młoda dama usiadła do fortepianu i śpiewała piosnkę, którą z największem zdumieniem w Bostonie wysłuchano. Po skończeniu posypały się huczne oklaski, telefon przeniósł je śpiewaczce w Malden."

Ta wiadomość przez dzienniki amerykańskie podana, nie wiele wiary znalazła w Europie, ale na ostatnim kongresie angielskich uczonych w Glasgowie, William Thompson, jeden z najznakomitszych fizyków teraźniejszych, zdawał sprawę z doświadczeń w jego obecności czynionych z telefonem; ów wynalazek zatem nabiera wielkiej powagi.

„Słyszałem w departamencie Kanadyjskim słowa: *To be or not to be... Theres the...* przytem wyciągi z dzienników Nowoyorskich, przesłane za pomocą drutu telegraficznego. Słyszałem na własne uszy tak wyraźnie, że żadnej nie mogłem mieć wątpliwości. Wyrazy były wymawiane głosem czystym i dźwięcznym, przez mego kolegę drof. Watsona, na drugim końcu linii telegraficznej."

Gazeta Bostońska *Daily Globe*, opisuje że gdy prof. Bell wykładał o telefonie przed licznie zebranymi słuchaczami w Salem, reporter gazety za pomocą telefonu powtarzał cały wykład, który był słyszany w Bostonie o 32 kilometry odległym. Nadto dzienniki amerykańskie utrzymują, iż Bell przesłał taką ustną depeszę i otrzymał odpowiedź, z New-Yorku do North Conway, na odległość 230 kilometrów. Gdy tak było, nie istniałoby więc żadnej przeszkody ażeby w prędkim czasie nie rozmawiano ustnie pomiędzy Ameryką a Europą.

Wszelako nic jeszcze stanowczo o tym ciekawym przyrządzie powiedzieć nie można, zbyt mało bowiem jest znany, również i jego urządzenie, z którym p. Bell po części się kryje, jako każdy wynalazca nim patent wyłącznego korzystania uzyska. Opisy samego telefonu bardzo są niedokładne, zatem niepodajemy go teraz. Zasadą jego jest przesłanie za pomocą drgań powietrza elektryczności i tworzących głos, jak wiadomo, i powtarzaniu tychże samych drgań na stacyi drugiej, a więc wytworzeniu tychże samych dźwięków.

# Korespondencya z Madrytu.

(Dokończenie).

Najpiękniejszą w Alhambrze jest sala ambasadorska. Po obu stronach drzwi głównych, przecudnie rzeźbionych, znajdują się dwie nisze marmurowe, w których Maurowie składali swe papucie. Sufit z drzewa cedrowego nadzwyczaj misternie wyginany i rzeźbiony, jest prawdziwem arcydziełem pracy. Ścian opisać niepodobna, aby dać niejakie wyobrażenie, powiem tylko, że przywodzą na myśl fantastyczne krystalizacye jakiejś bajecznej groty wieszczek. Wśród cudownych rzeźb i arabesek, wpadają w oko jakieś tajemnicze napisy; jest to przepyszny okaz stylu arabskiego w najpiękniejszym rozwoju.

W dziedzińcu wyłożonym marmurem, jest wielki prostokątny rezerwoar, w którym kiedyś kąpały się kobiety.

Z kolei pokazano mi kilka bardzo bogatych sal kąpielowych i nareszcie wszedłem do *sala de los nimfas* w której jedna tylko znajduje się wanna. Umieszczona po nad drzwiami płaskorzeźba z marmuru kararyjskiego, przedstawia Jowisza pod postacią łabędzia z rozłożonemi skrzydłami, który długą swą szyją obejmuje Ledę.

Wchodzę do *tocador* ubieralni Izabelli Katolickiej, a ztamtąd do *mirador* pawilonu à jour z którego wspaniała roztacza się perspektywa. Patrząc ztąd, Grenada wygląda jak rozkwitły granat; w pogodny dzień czarująco przedstawia się widok tej niezliczonej liczby domów, zdających się wypychać jeden drugi aby zająć opróżnione miejsce. U stóp pawilonu, Genil toczy swe fale połyskujące jakby okruszynami złota, wśród drzew oliwnych, opali, granatów i starych topoli, współzawodniczących o wysokości z wieżami Alhambry. Po nad rzeką zarzucone są wysokie wodociągi, kryjące się wśród zwojów bluszczu i różnorodnych pnączy. Na lewo już w oddali, rysuje się katedra.

Schody poprzecinane są platformami; na każdej tryska z basenu cienki czysty jak kryształ strumień, rozlatujący się w drobniutką rosę. Około ostatniego; większego basenu, stoją darniowe ławeczki otoczone woniejącemi roślinami. Trzeba odwagi żeby wyjść z tego czarodziejskiego ustronia, w którem chciałoby się żyć i umierać.

Na drugi dzień obejrzawszy prace przygotowawcze do zamierzonej eksploatacyi złota, w których dotąd jeszcze nic nie ma zajmującego, poszedłem zwiedzić dzielnicę Gitanos'ów (Cyganów) leżącą na jednem z najwyższych wzgórz Grenady. Na polu zarosłem szaro niebieskiemi kaktusami, wznoszą się jakby wielkie kretowiska z powybijanemi do wejścia dziurami, wśród gajów aloesów i fig. To mieszkanie Cyganów; królestwo w królestwie Hiszpańskiem.

Monarcha tego ludu przyjmował mnie w swojem państwie, z prawdziwie książęcą grzecznością, ale wnosząc z pozorów, lista jego cywilna nie musi być bardzo wielka. Ubrany całkiem w bieli, zamiast berła trzymał w ręku bicz rzemienny, z długą rękojeścią, na bosych nogach miał tylko *alpargatas*; na głowie kapelusz z szerokiem rondem, koszulę czerwoną z żabotem; wielkie złote kolczyki w uszach i srebrne pierścienie na wszystkich palcach. Za szerokim czerwonym pasem zatknięte były wielkie nożyce gdyż dostojnik ten zajmuje się strzyżeniem mułów.

Dwór jego składa się z mężczyzn, kobiet i dzieci wszelkiego wieku. Przy wejściu do królewskiej chaty, siedziała na piętach najjaśniejsza pani, owinięta od pasa w podartą kołdrę, mającą zastępować spódnicę. Istna czarownica z Makbetha, z długiemi rękami, z wargami obwisłemi i zaczerwienionemi oczyma.

Chmara nagich poddanych obległa mnie ze wszech stron z wyraźnym zamiarem zajrzenia do mych kieszeni. Ze wszystkich kretowisk *wylaziły* legiony cyganów, wyciągając ręce; rzuciłem im garść *ochavos* i oddałem co miałem cygaretek. Jedni drugim wydzierali, zrobił się straszny hałas, aż monarcha musiał wdać się w tę sprawę, przywołując wszystkich do porządku.

W kącie, naczelny kuchmistrz królewski, piekł pod gołem niebem jakieś zwierzę którego kształtów rozeznać nie mogłem; z *puchers* rozchodził się dym zaduszający, a z pieczystego straszny odór padliny. W drodze najwyższej łaski, monarcha raczył zaprosić mnie na śniadanie, ale przerażony niewymownie na samą myśl o takiej uczcie, podziękowałem uniżonym ukłonem i opuściłem państwo cygańskie.

Cyganie trudnią się strzyżeniem koni, osłów i mułów; cyganki wróżą i przedają naszyjniki z jakichś czerwonych nasion i koszyki które wypletają z bardzo miękkiej słomy. Cyganie odznaczają się niezachwianem posłuszeństwem dla swego króla, którego nigdy nie pozbawiają oznak monarszych.

Katedra Grenady odznacza się nadzwyczaj starożytną gotycką architekturą. Bogate ornamentacye wzbogacają boczne nawy. Zwracają tu uwagę piękne jaskrawe kolorowe szyby; prześliczna Święta Dziewica Allonso Cana i nader śmieszna drewniana statua wojownika okrytego zbroją, malowanego i złoconego, który siedzi na siwym koniu.

Zwłoki Ferdynanda i Izabelli Katolickiej spoczywają tu w *capilla real*; postacie ich leżące na sarkofagu, odznaczają się surową powagą.

Przy końcu Alameda znajduje się fontanna zwracająca uwagę swą oryginalnością. Olbrzymie postacie męzkie, ordynaryjnie wyciosane, podtrzymują wielką konchę z której spadają strumienie ciężkie jak cała budowa. Na prawo, roztacza się prześliczny ogród, rozkoszną wonią kwiatów nasycający powietrze. Wśród bogatych plantacyi rozłożonych na wybrzeżach Genilu, ciągnie się długa aleja topolowa, w której schodzą się kochankowie i lubują marzyciele.

Obejrzawszy wszystko co było do widzenia w Grenadzie, powróciłem do Madrytu; ciężka to dola spędzać w nim lato. Na ulicach duszno i gorąco jak w łaźni, to też wszyscy siedzą w domu wyciągnięci na wygodnych sofach. Bardzo odważni idą *klapać się* w Mancaneresie, a przysięgam na wszystko że kąpiel w tej rzeczce wyjdzie na to jak gdyby ktoś chciał się kąpać w basenie którego dno zaledwie pokryte jest wodą. Przyznaję że nie miałem dotąd odwagi próbować takiej mokro-piasczystej kąpieli.

Wieczorem za to wszystkie przechadzki i skwery są natłoczone; jedyny wietrzyk jaki czasem dolatuje, pochodzi od mocno poruszanych wachlarzy. Wychodzi się dla orzeźwienia się nieco świeżem powietrzem, a zamiast tego trzeba się nałykać mieszaniny powstałej z rozpalonego piasku i pudru ryżowego, jaki z twarzy i włosów pań rozchodzi się w powietrzu.

Klimat Madrytu zbliżony jest bardzo do klimatu Kajenny. Urwista i kamienista Guadarrama, zawsze prawie pokryta śniegiem, nawet podczas lata, mimo palących promieni słońca, napędza na Madryt suchoty i śmiertelne zapalenie gardła.

Rozkoszujesz się srebrzystem światłem księżyca, zachwycasz pięknością niezrównaną nieba hiszpańskiego i Hiszpanek, aż nagle z perłowych wyżyn horyzontu doleci wietrzyk tak lekki iż nie zgasiłby zapałki, ale przejmuje, przenika i zabija człowieka.

W następnej korespondencyi prześlę Wam opis walki byków na której byłem kilkakrotnie już obecny.

*J. W.*

# Przegląd literacki.

**Ateneum i Biblioteka Warszawska** za kwartał drugi (kwiecień, maj i czerwiec) 1877 r. **Kwartalnik Kłosów**, pismo naukowe i literackie tom I.

(Dokończenie).

W „Kronice Paryzkiej“ Biblioteki Warszawskiej zasługuje na uwagę rzecz o mało znanej poezyi tureckiej (zeszyt kwietniowy), rozbiór nowowydanego dalszego ciągu „Legendy wieków“ W. Hugo (Maj) i przegląd wzmianek o Janie Sobieskim i wyprawie wiedeńskiej, napotykanych w pieśniach małoruskich i południowo-słowiańskich (zeszyt czerwcowy).

Pomiędzy recenzyami jedną z najbardziej pouczających jest p. Struvego ocena nowej edycyi słynnego dzieła Steinthala o początku mowy (Ursprung des Sprache) umieszczona w zeszycie kwietniowym Ateneum: czytelnik znajdzie tu w streszczeniu wszystkie ważniejsze poglądy rozmaitych uczonych na kwestyą pochodzenia języka—ostatecznie, bądź co bądź, ciemną i nieprzystępną.

Pomijamy wiele rubryk zwyczajnych w obu czasopismach, o których nie ma co powiedzieć nowego, a także kilka prac wartości pośledniejszej.

Pod względem języka i korekty, oba czasopisma więcej niż dawniej okazują troskliwości: zdarzają się jednak jeszcze błędy, szczególniej w Bibliotece, jak np. „rozszczegóławia“ (Kwiecień str. 153); „postawić *pod takim punktem widzenia* (tamże str. 151); „w gmachu *jaki* (zam. który) ma się zbudować“ (tamże str. 176); „kilkonasto i kilkoletniego“ (zam. kilkunastoletniego, kilkuletniego, tamże str. 177); nieinaczej zwykle *niż* dzisiaj“ (zam. *jak*, tamże str. 177); „najhistoryczniejsze“ (zam. najbardziej historyczne, tamże str. 178); „*te* wzgórze“ (zam. *to*, Czerwiec str. 439); „*niepoczytalność bohatera* za ten czyn“ (mówi się tylko *niepoczytalność czynu*, tamże str. 502); „używa *zupełny zbiór*“ (zam. *zupełnego zbioru* tamże str. 504); „wykończa“ (czas teraźn. od słowa dok. tamże str. 530).

Na zakończenie słów kilka o „Kwartalniku“ Kłosów. Mamy więc jeszcze jedno czasopismo poważne, które jest niejako uzupełnieniem „Kłosów“, gdyż ma zawierać utwory, które, już to z powodu swego zbyt specyalnego charakteru, już to dla rozmiarów, nie mogły znaleźć pomieszczenia w samem tem czasopiśmie illustrowanem. Wydany obecnie tom pierwszy zawiera kilka takich utworów, współpracowników Kłosów.

Na czele mamy poważną pracę p. Jabłonowskiego „Koleje dziejowe zrzeszania się politycznego Słowian północnych do połowy XV wieku.“ Jest to rzut oka na rozwój polityczny dawnej Polski, a po części i sąsiednich plemion słowiańskich, przeważnie z punktu widzenia federacyjnego: na podstawie łączenia się i wiązania pojedynczych części i plemion. Właściwie w tem zapatrywaniu się nie ma nic nowego ani oryginalnego, gdyż rozwój idei federacyjnej możemy widzieć w dziełach Moraczewskiego i Lelewela; autor wydzielił tylko ten żywioł i uczynił go przeważnym, niemal jedynym przedmiotem swej pracy, zkąd nawet pochodzi pewna jednostronność. Wiele tu wprawdzie uwag trafnych i poglądów słusznych, jak np. ogólna charakterystyka tkwiącego w naturze słowiańskiej kontrastu dążeń indywidualnych z popędami towarzyskiemi — zkąd zamiłowanie swobody, rozstrój polityczny, a z drugiej strony gwarna towarzyskość; — wypowiedział tu także autor niektóre wyniki nowszych badań naukowych o sąsiadach Polski, mało u nas upowszechnione. W ogóle jednak cały artykuł nacechowany jest pewną ciężkością i nie jest ani zajmującym, ani popularnym. Styl bywa często zawiłym, a i pod względem językowym, znajdujemy tu nieco nowowytworzonych wyrazów i form błędnych, jak *wymagalnik*, *życiowość* (str. 2), *społeczeńskość*, *Longobardzi*, *Hunni*, (str. 4), *ożywotnić* (str. 5), *unaoczniać*, *osłowianić* (str. 6). Trafiają się i błędy faktyczne, jak np. Celtów — lud szczepu aryjskiego — autor rachuje do plemienia turańskiego (str. 6).

Dalej idzie artykuł o Spinozie przez p. Kaszewskiego, opracowany starannie, ale niedość przystępnie. Nadto ważną wadę tej pracy stanowi nieuwzględnienie całego poprzedniego rozwoju filozofii, a nawet systematu Kartezyusza, którego dopełnieniem była nauka Spinozy. Wyrwana tym sposobem z organicznego związku, nauka wielkiego myśliciela staje się trudną do wyłuszczenia dla autora i niełatwą do zrozumienia dla czytelników.

Znajdujemy następnie „Historyą rzemiosł, rzemieślników i rzemieślniczych wyrobów w Polsce od czasów najdawniejszych aż do końca XVIII wieku“ przez sędziwego i zasłużonego badacza W. A. Maciejowskiego. Rzecz to uczona, choć zbyt może specyalna, w wielu miejscach ciekawa. Tak np. podaje tu autor wywód wyrazów *rzemiosło* i *rzemieślnik* od wyrazu *rzemień* (podług Miklosicza), zkąd wniosek, że rymarstwo musiało być jednem z najdawniejszych rzemiosł, jeśli nie najdawniejszem. Zajmujące są szczegóły o walce niemieckich cechów rzemieślniczych z polskiemi w XV i XVI wieku i o stosunku i zapatrywaniu się władz państwowych na instytucyą cechów. Jakie ścieśnienia dla handlu i przemysłu wynikały z ustaw cechowych, świadczą przytoczone przez autora, w języku i w pisowni XVI wieku, Statut Rybacki i inne pomniejsze wiadomości. Tak np. sprzedażą ryb w mieście mogli trudnić się tylko wpisani do cechu rybackiego; nawet obywatelom ziemskim wolno było przywozić ryby na targ tylko we czwartek, a w piątek mogli sprzedawać nieinaczej jak całemi furami i t. p. Ciekawe są nakoniec przytoczone cenniki wyrobów i robót rzemieślniczych z 1565 roku, wypisane z akt ratuszowych miasta Warszawy, przez p. Sobieszczańskiego. Zestawiwszy jednak wartość względną pieniędzy ówczesnych i teraźniejszych, wypada, że ceny owoczesne niezawsze były od dzisiejszych niższe.

Studyum literackie p. Chmielowskiego p. t. „Narcyza Żmichowska“ należy, bez wątpienia, do najudatniejszych części składowych Kwartalnika. Jest to praca tak obszerna, że mogłaby stanowić sporą broszurkę: doczekała się więc Gabryela, już w rok niespełna po swoim zgonie, wyczerpującego krytyka swych utworów i biografa. Autor nie pomija bowiem i najdrobniejszych szczegółów z życia Żmichowskiej, szukając wszędzie śladów i wskazówek rozwoju jej ducha i talentu. Autor należy do wielbicieli Żmichowskiej: dla tego nawet zbył krótką wzmianką słabsze jej utwory i, zdaniem naszem, nie wyjaśnił należycie kolei, któremi talent Gabryeli dążył do upadku, gdyż miał i on tę fazę, wybitnie przedstawiającą się w życiorysie Strzeleckiego i w przypiskach do dzieł Hofmanowej. Warte też były wspomnienia „Listy o pismach Gabryeli“ (mówiąc nawiasem, nie wiemy dla czego autor pisze

wszędzie *Gabryella)* pióra p. Morzkowskiej, umieszczone przed kilkoma laty w Tygodniku Ilustrowanym.

O krótkim artykule p. Chwaliboga p. n. „O właściwości sądów pokoju i sądów gminnych w sporach wekslowych“ sąd wydawać nie naszą jest rzeczą.

W rubryce p. n. „Wiadomości z nauk przyrodniczych i stosowanych“ p. Jurkiewicz mówi pokrótce o rozmaitych nowych odkryciach i wynikach badań w wymienionych gałęziach wiedzy. Niektóre z tych wiadomości mogą zainteresować szersze koła czytelników, jak np. o nowym mikroskopie, mającym powiększać 20,000 razy (?), o kilku nowych metalach, o zabytkach cywilizacyi przedhistorycznej — olbrzymich figurach kamiennych, znalezionych na wyspie Wejhu (w Oceanii) i t. p.

Bezimienny artykuł, zatytułowany „Przegląd dziejów spółczesnych“ pomieszczony w Kwartalniku, jest bardzo słabem i nudnem zebraniem przestarzałych wiadomości gazeciarskich.

Nakoniec rubryka bibliografii, podzielona na dwie części „Książki“ i „Ważniejsze artykuły w czasopismach“ mogłaby być bardzo pożądaną i użyteczną, gdyby była kompletną. Znajdujemy tu wymienione nawet książki i broszury za granicą w obcych językach wydane, a tyczące się w czemkolwiek dziejów naszych lub kraju naszego. Wykaz ważniejszych prac, w czasopismach zamieszczanych, zaradziłby po części tej niedogodności, o której nieraz wspominaliśmy (znikaniu prac lepszych bez śladu i bez pamięci w oceanie prasy peryodycznej), ale potrzeba koniecznie, ażeby takie wykazy były bardziej szczegółowe. Usterek językowych (przeważnie rusycyzmów) znajdujemy nieco i w innych artykułach, oprócz wymienionego np. *domyśliwając się* (str. 131), *mało po mału* (str. 134), *średniowiekowy* (st. 138) i t. d.

Oto cała treść pierwszego tomu Kwartalnika. Jak widzimy, niebrak tu prac całkowicie lub częściowo zajmujących; ale niektóre z tych artykułów są niepomiernie długie, nieco suche i niezbyt popularnie opracowane — ztąd niewielka ich ilość, a zatem brak rozmaitości, ztąd pewna oschłość, stojąca na zawadzie poczytności. Przy tem istniejące już pisma poważniejsze walczą po części z brakiem prenumeratorów; wątpimy więc, czy jeszcze jedno utrzymać się u nas zdoła, chociaż, wmyśl przysłowia, „od przybytku głowa nie boli“ bylibyśmy temu radzi. Zdaje się nam także, iż tytuł „Kwartalnik Kłosów“ niebardzo jest stosownym, raz dla tego, że wyraz Kwartalnik w języku polskim nie istnieje, (chociaż używał go już Helcel wydawca Kwartalnika naukowego w Krakowie), a powtóre dla tego, że powyższe zestawienie dla nieobeznanego z prasą warszawską wymaga komentarza, że jest to pismo wydawane przez redakcyą czasopisma obrazkowego Kłosy. Jeden wyraz, użyty przenośnie jako tytuł pisma, np. Kłosy, Zorza i t. p. jeszcze uchodzi, ale zestawienie takiego wyrazu z innym, zwłaszcza nowoutworzonym, choćby przez Helcla, neologizmem) jest już niezrozumiałem, a nazwa pisma powinna być zrozumiałą na pierwszy rzut oka bez komentarzy.

*L. S. W.*

# Wiadomości bieżące.

Komitet Tow. Zachęty Sztuk Pięknych wybrał na jednem z posiedzeń 11 dzieł sztuki do rozlosowania pomiędzy członków towarzystwa. W liczbie wymienionej wypada jedna tylko płaskorzeźba, reszta obrazy olejne. Wszystkie oszacowane na rubli tysiąc pięćset trzydzieści. Niejednem znowu pięknem dziełem ozdobią szczęśliwi członkowie ściany komnat swoich, mówimy szczęśliwi, gdyż tu los rozstrzyga. Ale wartoby też pomyśleć i o mniej szczęśliwych, o takich mianowicie, którzy nie mają pojęcia że można być członkiem Tow. Sztuk Pięknych to jest o klasach niższych i o ludzie. Rok rocznie zasypuje zagranica nasze ławy targowe i odpustowe bohomazami przedstawiającemi nieraz najdziwaczniejsze sceny a zawsze nam obce i dla oka więcej wybrednego wstrętne, ale pospólstwo kupuje to, gdyż nie widzi innych. Otóż nie wdając się w to, komu nad tem warto pomyśleć, zwracamy tylko uwagę, że kraj którego artyści walczą z zagranicą o palmę pierwszeństwa, mógłby się zdobyć także na wyprodukowanie robót więcej artystycznych jak przywożone z zagranicy.

Według jednego z czasopism niemieckich, za 28,000 marek (około 12,600 rubli) można kupić tytuł dziedzicznego szlachcica węgierskiego lub hrabiego rzymskiego; tyleż prawie kosztuje order włoski korony albo Św. Maurycego i Łazarza. Daleko taniej, bo za 3 do 5,000 marek (od 1,350 do 2,250 rub). można kupić sobie order papiezki, hiszpański, portugalski, brazylijski, tunetański, perski lub turecki. Za pieniądze można też uzyskać krzyż, medal lub inną oznakę honorową za wyratowanie ginących, ocalenie tonących i t. p. Jakiś spekulant w Londynie ogłosił niedawno, że sprzedaje za tanie pieniądze dyplomy na tytuły radcy niemieckiego (którejbądź z licznych kategoryi jako to: handlowego, nadwornego i t. p). Czego to już dzisiaj nie dostać za pieniądze!

Dnia 16 grudnia 1876 roku ludność Nowego Yorku była świadkiem osobliwszego i jedynego w swoim rodzaju widowiska. Już na kilka dni przed tem wszystkie gazety zapowiedziały, że można będzie w dniu wymienionym oglądać wieloryba zawieszonego w powietrzu. Ów wieloryb, z gatunku tak zwanych białych wielorybów, mający 9 stóp długości, znajduje się w olbrzymiem akwarym szklanem i chodziło właśnie o wyczyszczenie tego akwarym; postanowiono więc wieloryba na czas jakiś z niego usunąć, wywindowawszy w górę na olbrzymim kawałku płótna. Gdzieindziej uczynionoby to pocichu, ale w Ameryce wszystko być musi publicznem widowiskiem. Wobec więc licznych tłumów i przy dźwiękach muzyki, spuszczono pod wieloryba ów kawał płótna, przedziurawiony w wielu miejscach dla odpływu wody i z pomocą lin na czterech rogach przywiązanych, zaczęto windami podnosić wieloryba w górę. Dwa razy wieloryb wymykał się i wpadał napowrót do akwaryum; za trzecim wreszcie razem udało się wywindować go na 6 stóp po nad akwaryum, które tymczasem szybko zaczęto wypróżniać i czyścić. Kilka godzin spoczywał tak olbrzym, zawieszony wysoko w powietrzu i za pomocą sikawek polewany wodą.

Dzienniki ogłosiły dwa konkursa dramatyczne na rok bieżący. Jeden lwowski imienia Aleksandra hr. Fredry, drugi dyrekcyi teatru krakowskiego. Pierwszą nagrodą konkursu lwowskiego stanowi kwota 600 złr. drugą nagrodę 300. Ubiegać się mogą tylko komedye, z których oczywiście najlepsza wypełniająca cały wieczór, otrzyma pierwszą nagrodę. Terminem ostatecznym do nadsyłania utworów jest 1-y marca 1878 r. pod adresem dyrekcyi teatru lwowskiego. Konkurs dramatyczny krakowski przyjmuje tylko sztuki ludowe tym razem. Sztuka najlepsza przynajmniej trzyaktowa otrzyma nagrody 500 złr. Termin ostateczny jak w konkursie lwowskim 1 marca 1878 r. Nadsyłać należy pod adresem p. Stanisław Koźmian dyrektor teatru krakowskiego w Krakowie. Jest więc znowu pole dla autorów dramatycznych a przybędzie mu prawdopodobnie więcej przestrzeni, gdyż spodziewać się można niebawem ogłoszenia konkursów warszawskiego i poznańskiego. Autorowie i szanowne autorki warto pomyśleć, szczególniej o sztuce ludowej. Dotychczas sam prawie p. Anczyc uprawia tę niwę i co prawda trzyma na niej berło, ale uradowałoby się bezwątpienia serce jego, gdyby spostrzegł obok siebie lub choćby po za sobą młodego współzawodnika czy współzawodniczkę. Pole to wdzięczne i w miarę posuwania się w przyszłość, uprawa jego stanie się koniecznością; sztuka ludowa potrzebą tej części społeczeństwa, która z cieniów niewiadomości dobywa się powoli na jasną drogę poczucia kształcąc w sobie zmysł piękna. Prawdy tylko, polegającej na znajomości obyczajów i serca szukajcie, a przybędzie nam dzieł pożądanych i pracownikom szczerym listek bodaj wawrzynu.

W Niemczech pomiędzy ludem wiejskim, a nawet i u mieszkańców miast, panuje dotychczas przesąd, że dla zapewnienia dziecku długiego życia należy wsunąć je na łopacie do pieca piekarskiego (oczywiście nie gorącego) z prawej strony, a następnie wyjąć z lewej strony, mówiąc przy wsuwaniu: „wsuwam cię starym (albo starą) w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego,“ a przy wyjmowaniu: „wyjmuję cię młodym (młodą) w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego.“

# Odpowiedzi od Redakcyi.

**Pani Mo... w Borowicy.** Nigdy Tygodnik Mód bez dodatków nie jest przesyłany dla prenumeratorów, gdyby jednak pod tym względem wcisnęła się jaka niedokładność, to niepodobna przypuścić aby koleją trzy N-ra jeden po drugim zostały przesłane bez dodatków jednemu i temuż samemu prenumeratorowi. Widocznie dodatki te wyjmowane są w podróży pocztowej pism peryodycznych, czemu zapobiedz przy dzisiejszem urządzeniu poczty, redakcya nie jest w możności. Dodatki nieodebrane powtórnie przesłane zostały.

**Pani B. w Rudce.** Szuba z niedźwiedzi kosztuje od rs. 150 do 250 — z niedźwiadków zwanych moczakami od rs. 250 do 450. Wybrać je można w składzie futer których jest kilka w Warszawie.



**Prenumerata wynosi kwartalnie:**

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

*Adres: Do* **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*



Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 13 (25) Іюля 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

**Dodatek.**



N. 1. Ubranie głowy w warkocze i loki, ze złotym dyademem.



N. 2. Ubranie głowy z luźno skręcanych promieni i loków.



N. 3. Kołnierzowe ubranie stanika. Zobaczyć odpowiedni rękaw na ryc. 27.

## Opis do N. 30.

(dalszy ciąg).

**N. 8. Ubranie** dla młodej panienki.

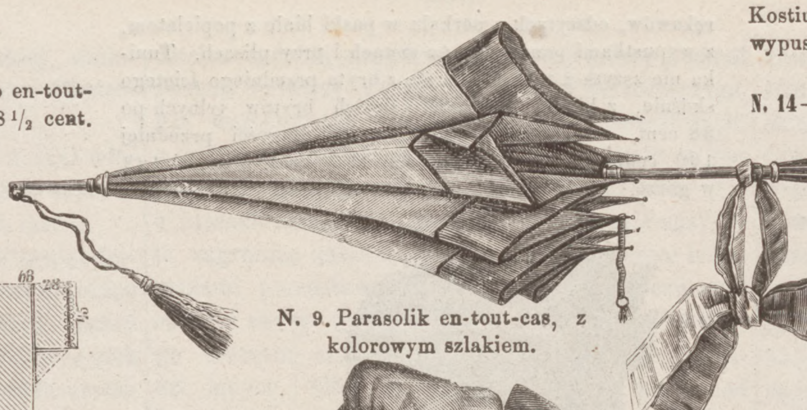
Składa się ze spódnicy, tuniki bluzki i kaftaniczka bez rękawów, odszytych z perkalu w paski białe z popielatem, z wypustkami ponsowemi na szwach i przy plisach. Tunika nie zszyta z tyłu składa się z bryta przedniego ściętego skośnie, z klinów bocznych i dwóch brytów tylnych po 38 cent. szerokości i liczy 92 cent. długości przedniej 100 cent. tylnej, a szerokości 196 cent. u dołu i 122 w górze. Tylne bryty podszyte są listewką do ściągania naszytą prosto wzdłuż na 27 cent. od dolnego a 22 od tylnego, i to stanowi podpięcie tuniki. Spódnica zakończona plisowaniem 14 cent. oszytem wypustką; rękawy zdobne dwoma falbaneczkami 5 cent. szerokiemi i plisą; na kaftaniczku u dołu pleców naszyte trzy rzędy plisowania, przytwierdzone rodzajem patki.



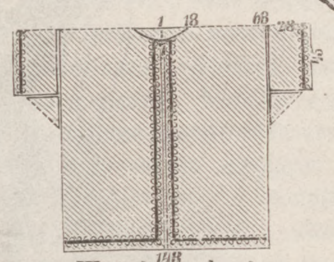
N. 4. Suknia princesse z trenem przyszytym. N. 5. Płaszczyk od kurzu. Krój rękawów i kołnierza na arkuszu dodatkowym do N. 27—28 Tygodnika N. III, Fig. 10—11. N. 6. Suknia princesse z tyłu zapinana, dla małej panienki. N. 7. Kostium bretoński. N. 8. Ubranie dla niedorosłej panienki.

**N. 9. Parasolik** en-tout-cas ze szlakiem.

Elegancki parasolik formą tylko podobny do en-tout-cas, pokryty jest białą materyą i zakończony 8 ½ cent. szerokim szlakiem, z materyi blado-niebieskiej, objętym u góry i u dołu wąziutką wypustką ponsową. Wewnątrz parasolik ma podszewkę z marseliny ponsowej z bladoniebieskim szlakiem. Kokarda z wstążki repsowej 6 cent. szerokiej w kolorze ponsowym czy niebieskim, albo w dwóch cieniach. Kwaścik jedwabny zawieszony na czubku parasolika jest koloru kokardy.



N. 9. Parasolik en-tout-cas, z kolorowym szlakiem.



N. 12. Wzór kroju do płaszczyka ryc. 11.



N. 10. Kapelusz do kąpieli.

**N. 10—13. Kostium,** płaszczyk i kapelusz do kąpieli.

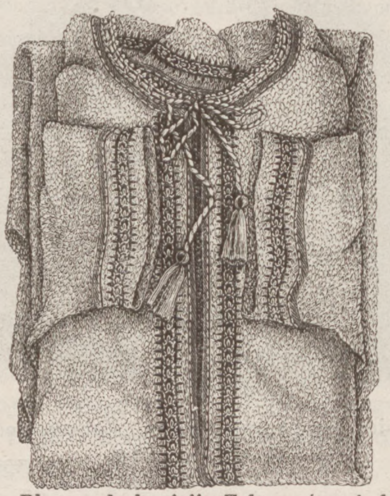
Rycina 10 przedstawia kapelusz kąpielowy z rondem plecionem ażurowo, podszytem szafirowem perkalem, z główką ceratową, opasanie dane z perkalu podszytego ceratą.

**N. 11—12. Płaszczyk** kąpielowy.

Można go przykroić z całą łatwością podług ryc. 12 podającej krój w zmniejszeniu, lecz całkowity wymiar szerokości i długości; ramiona są proste, rękawki proste z klinikami a wykrój szyi może być dopełniony kapturkiem. Brzegi obejmuje ponsowa wełniana taśma 2 cent. szeroka; szlak wyszyty na taśmie ponsowej kolorową lub cieniowaną włóczką podług środkowego paska deseniu ryc. 24 służy do przyozdobienia płaszczyka. Wykrój szyi jeżeli nie do-



N. 13. Ubranie do kąpieli. Krój podług ryc. 31 w N. 27 Tygodn.



N. 11. Płaszcz do kąpieli. Zobaczyć wzór kroju na ryc. 12.

Kostium ryc. 13 jest z niebieskiej flanelki z ponsowemi wypustkami i riuszą z ponsowej taśmy wełnianej.

**N. 14—15. Spódnica** i peleryna flanelkowa, jako okrycie po kąpieli przy myciu, do ubierania się i t. p.

Peleryna i spódniczka zapięta z boku na guziki stanowi bardzo dogodne i praktyczne ubranie przy wstawaniu z łóżka, przy myciu, po wyjściu z kąpieli, lub dla osoby potrzebującej np. zuważ noc całą przy chorej. Za materyał służy flanelka ciemna gładka lub w paski. Rycina 14 przedstawia spódniczkę i pelerynę z piaskowej flanelki, przystrojoną mocną nicianą koronką i wszywką; rzędy ponsowej stębnówki przeszyte są w miejscach gdzie materyał złożony jest we dwoje. Na ryc. 15 widzimy rozłożoną spódniczkę z dwóch brytów flaneli (z których przedni ścina się w górze kliniasto) 225 cent. szeroką u dołu. Brzeg górny wszywa się w pasek zapinany na guziki; boczne zapięcie urządza się podług ryciny 15.



N. 15. Rozłożona spódnica do ryc. 14.



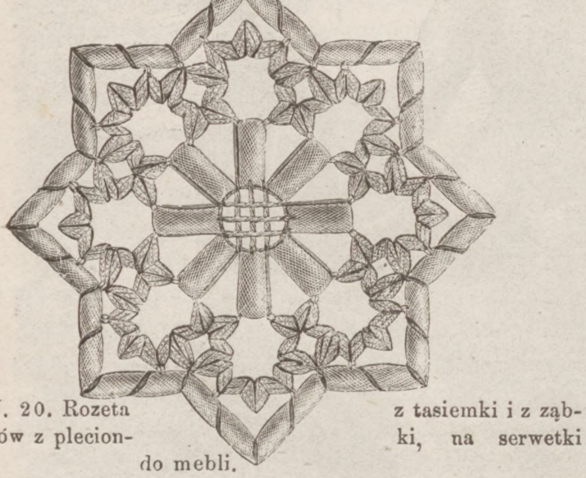
N. 14. Ciepłe okrycie po kąpieli, złożone ze spódnicy i peleryny flanelowej.

**N. 16. Spódnica** flanelowa.

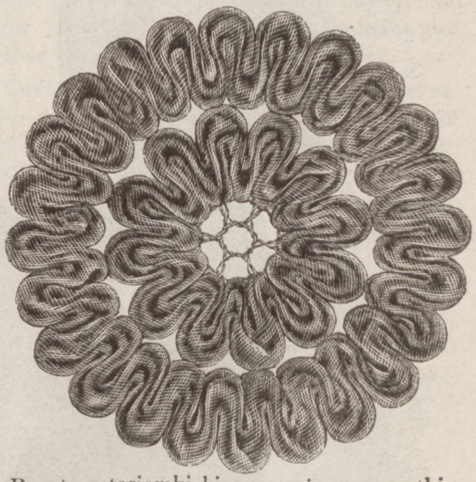
Ażeby była dogodną pod modne wązkie suknie, kraje się w górze kliniasto i wszywa w pasek tak, że przód i boki są zupełnie gładkie a fałdki zebrane są jaknajściślej do tyłu. Dolny brzeg białej flanelowej spódniczki ryc. 16 ozdobiony jest 6 cent. szeroką lekko nadmarszczoną nicianą koronką pod którą podsunięty jest gładko pasek niebieskiej flanelki 8 cent. szeroki; wycięty w ząbki, wązka pliseeczka przykrywa przyszycie koronki.



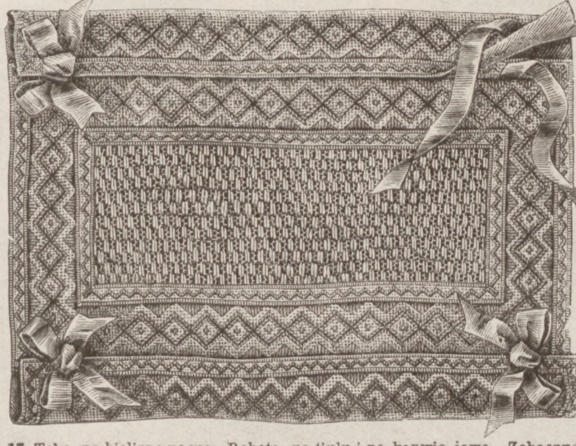
N. 16. Spódniczka flanelowa. Krój podług ryc. 32—33 w N. 15. Tygodnika.



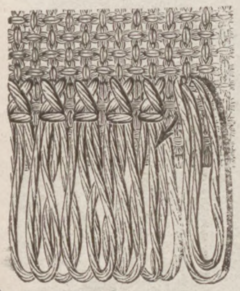
N. 20. Rozeta z tasiemki i z ząbków z plecionki, na serwetki do mebli.



N. 21. Rozeta z tasiemki kiprowanej, na serwetki do mebli i t. p.



N. 17. Teka na bieliznę nocną. Robota na tiulu i na kanwie jawa. Zobaczyć ryc. 18 i 19. i ryc. 14 w N. 29.



N. 22 Próbka przyrabiania frendzli podwójnym węzłem do materyału pasów do ryc. 44.

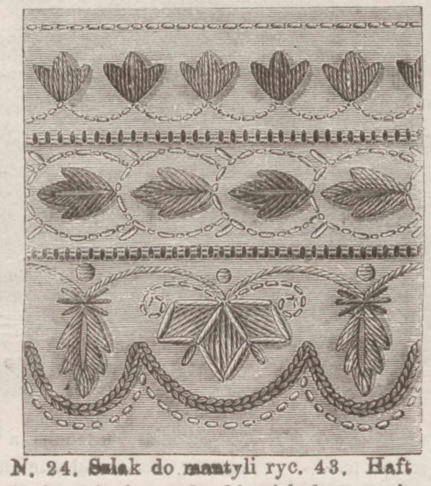
damy kapturka trzeba obrobić szydełkowym szlaczkiem do przewleczenia tasiemki ponsowej lub wełnianego sznura z kwastami.

**N. 13. Kostium** do kąpieli. Krój zastosować można podług ryc. 31 w N-rze 27.

Do morskich kąpieli praktyczniejsze są ubrania pod szyję niż wycięte; model załączony na ryc. 13 odrobiony jest z karczkiem zapinanym na ramionach, który dodać można przy bluzie krajanej podług ryc. 31 w N-rze 27. Pasek 5 cent. szeroki podszyty taśmą może być dopełniony krótką baskiną.



N. 18. Wywodzenie na tiulu na tło do ryc. 17.



N. 24. Szlak do mantyli ryc. 43. Haft długim ściegiem jedwabiami kolorowemi.



N. 19. Wywodzenie na tiulu na tło do ryc. 17.

**N. 17—19. Torebka** na bieliznę nocną. Wyszycie na kanwie Jawa i na tiulu.

Materyał: biała kanwa, włóczka angielska; podszewka i wstążka kolorowa.

Na zwierzchnią połowę torebki założoną w wykłady u góry i u dołu potrzeba kawałka kanwy 50 cent. długiego a 44 szerokiego, przednia połowa jest o 16 cent. krótsza. Odrobienie torebki nie wymaga żadnego opisu; wyszycie na kanwie stanowiące



N. 23. Szlaczek w ząbki i frendzla przyrabiana do ryc. 44.

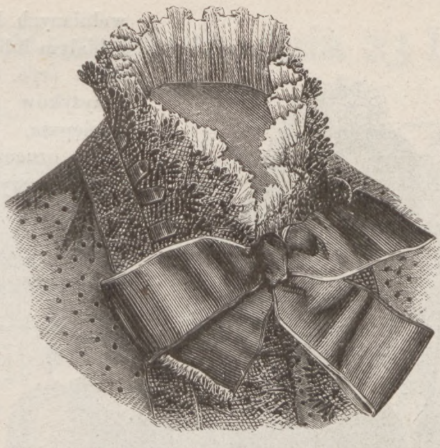
szlaki wskazaliśmy na ryc. 14 w N-rze 29 w naturalnej wielkości; ryciny 18 i 19 podają wzory wyszycia na tiulu grosbotowym który na podszewce kolorowej stanowi wierzchnie pokrycie torebki. Wykłady przewiązywane są kokardami.

**N. 20—21. Gwiazdki** na serwety i t. p.



N. 29. Sukienka ranna dziecinna. Zobaczyć ryc. 30 i ryc. 3 w N. 29. Krój podług ryc. 28 w N. 23. Tygodnika.

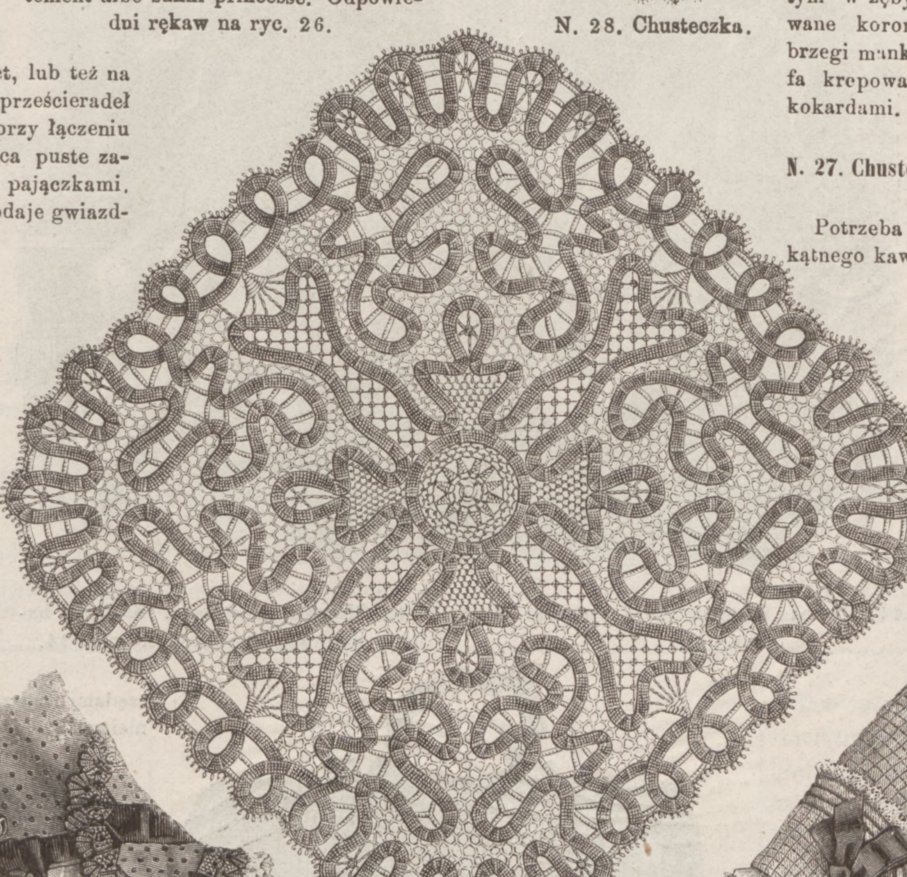
Obydwie gwiazdki przedstawione w naturalnej wielkości nadają się zarówno do dużych jak do małych serwet, lub też na wszywki do prześcieradeł pod kołdrę; przy łączeniu gwiazd miejsca puste zapełniają się pajączkami. Rycina 20 podaje gwiazdkę z tasiemki płóciennej gładkiej i tasiemeczki w ząbki, które naszywają się na tekturze podług wzoru, łączą niewidocznemi ściegami a środek gwiazdki z gładkiej tasiemki zapełniony jest pajączkiem. Na ryc. 21 przedstawiona gwiazdka z bawełnianej kiprowanej tasiemki; środkowe kółko wymaga 24 cent. tasiemki 1½ cent. szerokiej, którą na 12 ząbków dzieli się na 24 części przez zapięcie, a następnie przemarszcza przeszyciem w zęby dając od jednego do drugiego zapięcia po 3 ściegi; na drugie kółko potrzeba 48 cent. tasiemki zagiętej w 48 części i przemarszczonej tak jak poprzednia. Obydwa kółka łączą się za ząbki od strony lewej a środek zapełnia pajączkiem.



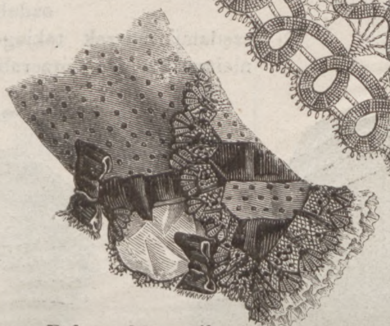
N. 25. Wykrój i ubranie stanika do vêtement albo sukni princesse. Odpowiedni rękaw na ryc. 26.



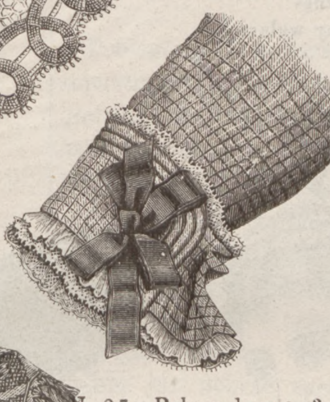
N. 28. Chusteczka.



N. 31. Serwetka do mebli koronka irlandzka. Desen na dodatku do N. 27 i 28. Fig. 65.



N. 26. Rękaw do stanik ryc. 25.



N. 27. Rękaw do ryc. 3.

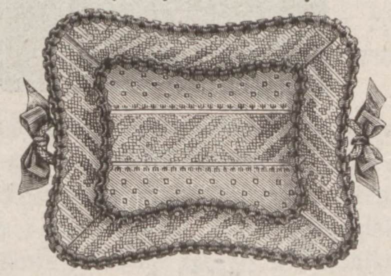
**N. 22—23. Dwie** frendzle szyte w prost na materyale.

Ażeby frendzla była równą trzeba robić ją przy pomocy drewnianej linijki; każda pentelka frendzli szytej podług ryc. 22—23 przytwierdzana jest krzyżykiem i poprzecznym ściegiem jak to ryc. 22 wskazuje; podług niej pierwsza część pentelki przyczepia się krótkim ściegiem poprzecznym, przechodzącym od strony prawej ku lewej, druga zaś ściegiem skośnym przeprowadzonym podług kierunku strzałki. Na ryc. 23 szlaczek nad frendzlą jest szerszy przez dodanie górnego rzędu.

**N. 24. Haft** ściegiem luźnym, do ryc. 43.



N. 32. Koszyk z przykryciem na negliżyki albo dziecinną bieliznę. Wnętrze koszyka ryc. 33. Deseń ryc. 34 i 35.



N. 33. Wnętrze koszyka ryc. 32.

**N. 25—26. Przybranie** wykroju stanika i rękawa.

Podłużny wykrój szyi w staniku lub sukni princesse wszyty jest w pasek 2 cent. szeroki, stanowiący podstawę pod plisowanie z białej krepy, riuszę siepaną z kolorowej materyi i riuszę z koronki. Drugi rząd koronki przepinanej maleńkiemi patkami jedwabnemi, naszyty jest wzdłuż zapięcia stanika, po za tem dana wszywka koronkowa podłożona kolorową materyą. Kokarda z materyi skośnej 6 cent. szerokiej. Rękaw zdobny mankietem przeszytym patkami materyi, wyciętym w zęby podgarnirowane koronką; z boku brzegi mankieta łączy bufa krepowa przewiązana kokardami.



N. 30. Sukienka ranna. Zobaczyć ryc. 29 i ryc. 3 w N. 28. Krój podług ryc. 28 w N. 23 Tygodnika.

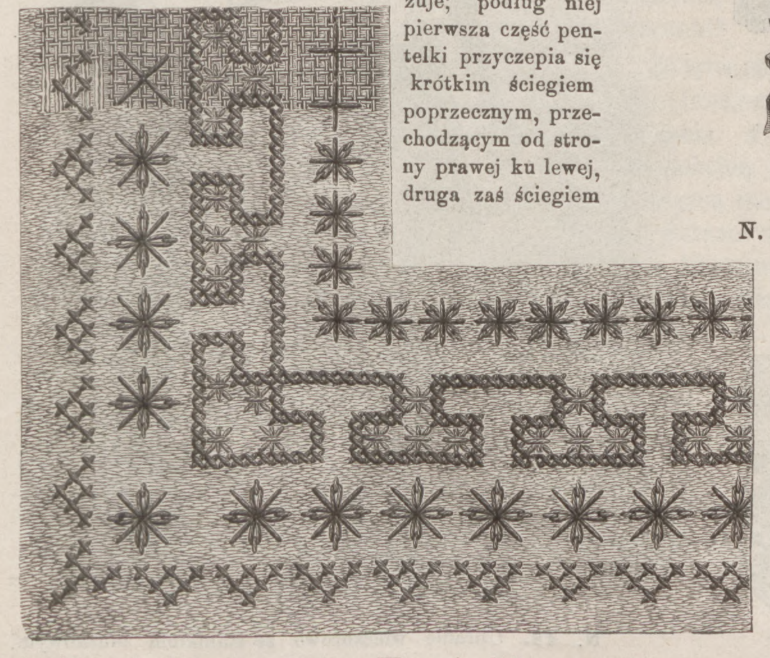
**N. 27. Chusteczka** na szyję.

Potrzeba na nią trójkątnego kawałka mającego po 48 cent. z brzegów prostych a 26 cent. długiego w środku, na końcach dodane są kawałki po 28 cent. długie, 16 szerokie które następnie przewiązują się w luźny węzeł. Na chusteczkę ryc. 28 wzięta była bladoniebieska materya przerabiana w ażurowe pasy; przyozdobienie stanowiła biała koronka, oszywająca dolny brzeg chusteczki, z pod której wysuwała się frendzla siepana z materyi. Końce chusteczki oszyte były plisowaniem z koronki, złączonej z czterech rzędów (po 29 cent. długich) jak to widać na ryc. 28. Szpilka z konchy perłowej przypinała węzeł.

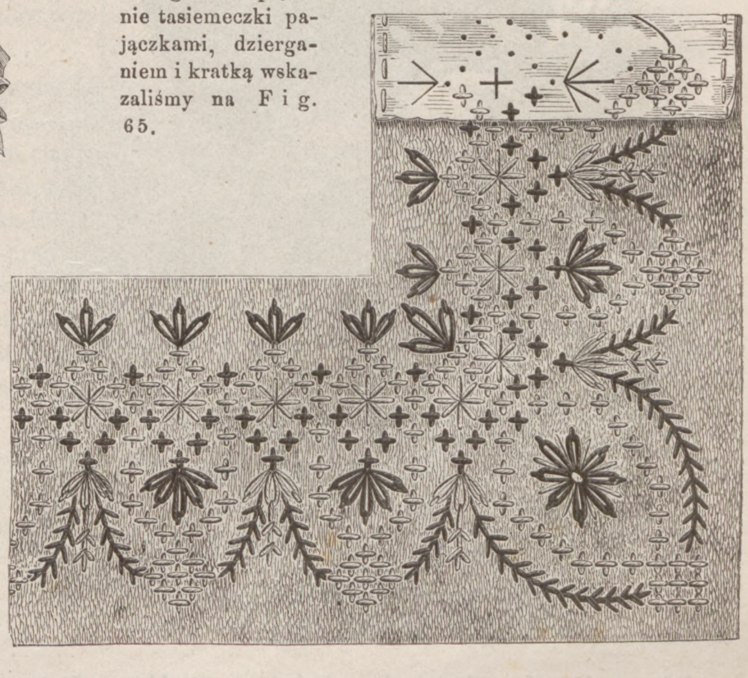
**N. 29—30. Opis** przy ryc. 3 w N. 29.

**N. 31. Serwetka** do mebli. Robota koronkowa. Deseń na arkuszu do N. 27—28, Fig. 65.

Za materyał służy tasiemeczka koronkowa écru, tegoż koloru nie zbyt cienkie nici i pikoty fabryczne do oszycia brzegów. Spajanie tasiemeczki pajączkami, dzierganiem i kratką wskazaliśmy na Fig. 65.



N. 34. Narożnik haftu do ryc. 32. Wyszycie kolorowe na kanwie jawa, na kaszmirze albo flaneli.



N. 35. Narożnik haftu na przykrycie do kosza ryc. 32; wyszycie różno-kolorowe na kanwie jawa, na kaszmirze lub t. p.

**N. 32—33. Kosz** przykryty serwetką, na negliżyki lub ubranie dla dziecka.

Pleciony jest z żółtej trzcinki i liczy 18 cent. wysokości, 46 długości a 34 szerokości. Jak to widać z ryc. 33 dno i boki ozdobione są wyszyciem na kanwie, bawełną ponsową i szafirową. Takiż sam szlak otacza brzegi serwetki do przykrywania koszyczka, na środku której wyznaczony duży monogram. Serweta ma kolorową wełnianą lub perkalową podszewkę i frendzlę kwaśecikową 6 cent. szeroką. Brzeg górny i wewnętrzny koszyczka zdobi riusza z taśmy wełnianej.

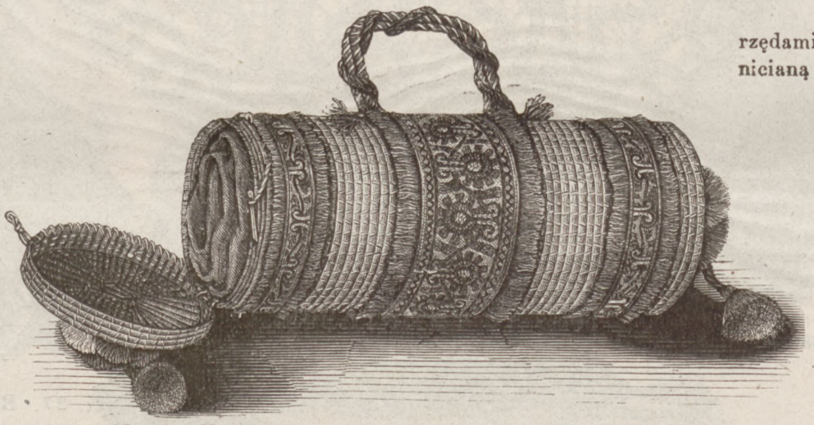


N. 36—37. Kołnierzyk i mankiet z kolorowo-haftowanemi muszkami i kolorowo wywodzoną nicianą koronką.



N. 41. Mantyla szalowa; zobaczyć przód na ryc. 42.

N. 43. Mantyla chustkowa. Szlak do haftu w naturalnej wielkości na ryc. 24.



N. 44. Kosz w kształcie wałka, ozdobiony haftowanemi pasami. Zobaczyć próbki frendzli na ryc. 22—23.



N. 45. Zielnik ozdobiony malowaniem nakrapianem.

**N. 34—35. Dwa** szlaki do serwet i t. p.

Można je wyszyć na płótnie, kanwie, materyałach wełnianych lub tle tunetańskiej roboty kolorem czarnym z białym lub żywemi barwami. Jeżeli mamy wyszywać szlak (ryc. 34) na gładkim materyale to dla równości krzyżyków najlepiej podłożyć kanwę, którą się następnie wysiepuje. Szlak rycina 35 potrzeba wyrysować na bibułce, oznaczając deseń kropkami i kreskami a po skończeniu wyszycia bibułkę się wydziera.



N. 40. Próbka naturalnej wielkości szlaku do ryc. 38—39. Kwadraciki z tego co kołnierzyk materyału.



N. 38—39. Kołnierzyk i mankiety ze szlakiem z kwadracików i kratki koronkowej.

**N. 36—40. Dwa** kołnierzyki z mankietami.

Formę takich kołnierzyków znajdą czytelniczki w dawniejszych N-rach Tygodnika, gdyż jest ona już znaną i tylko wykończenie odznacza się świeżym gustem.

Kołnierzyk i mankiet ryc. 36—37 ozdobiony jest kolorową wypustką i rzędami muszek takiegoż koloru; brzegi oszyte mocną nicianą koronką, przerabianą z nicią koloru wypustki.

(d. n.)



N. 42 Mantyla szalowa; zobaczyć plecy na ryc. 41.



N. 46. Ubranie wieczorowe ze stanikiem bluzkowym.